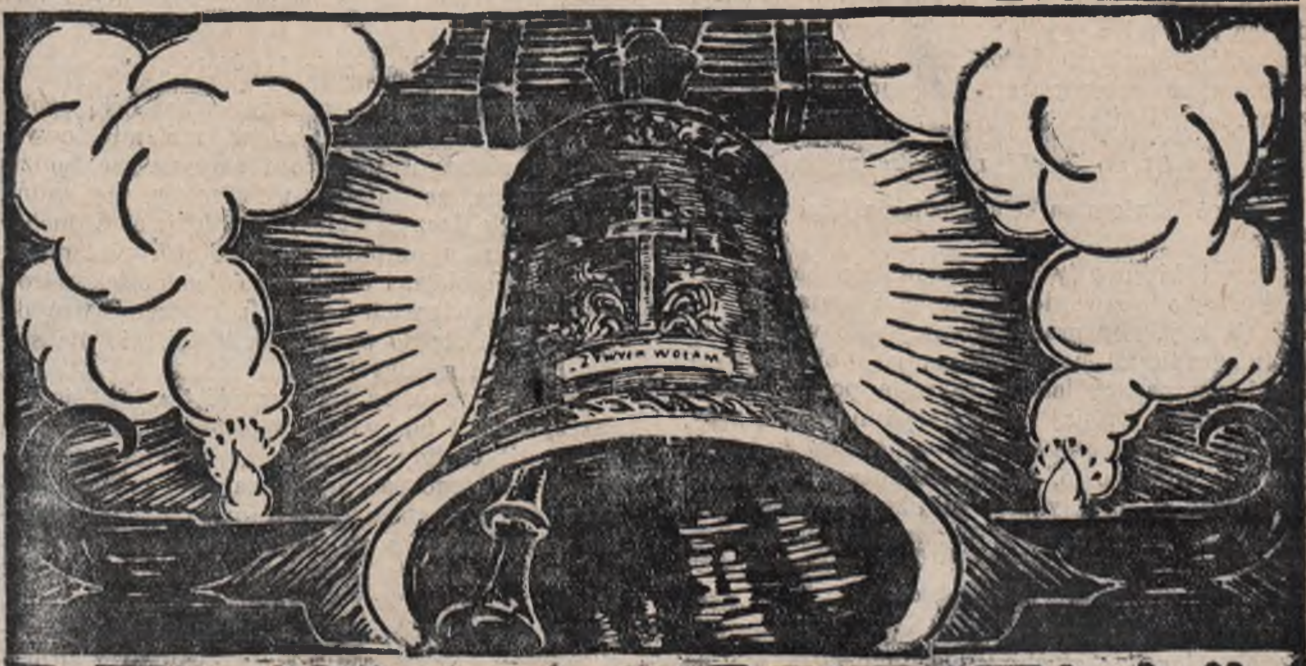
Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Cena 20 groszy

Nr. 16. Kraków, 17 Kwietnia 1927. Rok III.



DZWON NIEDZIELNY

ILUSTROWANY TYGODNIK KATOLICKI.

Przedpłata wynosi:
Na cały rok 7 zł, na pół roku 4 zł, na kwartał zł 2·20.
Numer pojedynczy 20 groszy.
W Ameryce 2 dolary. — We Francji 30 fr
W Danji 7 koron.
Każdorazowa zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja
Kraków, ul. Sienna L. 5.
Nr P. K. O. 404.712. — Nr Telefonu 2820.
Reklamacje niezapieczętowane wolne są od opłaty pocztowej.

Ceny ogłoszeń:
Cała strona 120 zł. — pół strony 60 zł.
ćwierć „ 30 „ — ósemka „ 15 „
Za jednołamowy wiersz mm. 30 groszy w tekście 3 razy drożej. — Nadesłane 50 proc. drożej.

Na »Alleluja« od Arcypasterza.

(Książe Metropolita Sapieha o Lidze Katolickiej i Imce).

W drugiej połowie października 1926 r. odbył się w Krakowie Zjazd delegatów organizacyj katolickich naszej archidjecezji, zwołany i urządzony przez tutejszą Ligę Katolicką. Blisko cztery tysiące katolików wzięło w nim udział, i radością napełnił widok uczestników tego zjazdu, z uwagą i skupieniem słuchających długich przemówień i biorących udział w obradach poszczególnych sekcyj.

Zjazd ten dowiódł, że ogół wiernych odczuwa potrzebę zjednoczenia katolików oraz gotów jest stanąć chętnie do pracy katolickiej. Zarazem zjazd ten był *pierwszem czynnem wystąpieniem naszej Ligi Katolickiej* na zewnątrz. Gdy więc w wielu okolicach Polski dopiero zabierają się do utworzenia Ligi Katolickiej, my ją już mamy, tak, że do nas należy obecnie dążyć wszelkiemi siłami do tego, żeby Ligę Katolicką nie tylko utrzymać, lecz rozbudować ją i sprawić, żeby zgromadziła w swoich szeregach do Akcji Katolickiej liczne zastępy katolików, silnych jednością przekonania katolickiego i wytężonej pracy katolickiej.

Ojciec święty nawołuje do akcji katolickiej.

Nawoływanie do tej pracy rozlega się dziś po całym świecie. Papieże, biskupi, a nawet ludzie świeccy nawołują do zrzeszania się pod sztandarem Chrystusowym, widząc w Nim

jedyny ratunek z chaosu,

w którym się ludzkość pogrąża.

My na te nawoływania nie byliśmy glusi i nie pozostaliśmy za innymi w tyle, lecz mamy już

w Lidze Katolickiej taką organizację, jakiej potrzeba do rozwinięcia akcji katolickiej. Stwierdzając ten fakt z radością, pragniemy jeszcze raz zachęcić wszystkich katolików, by się pod jej sztandarem zszeregowali do pracy w imię jej zasad.

Czem jest Liga Katolicka?

Jakież bowiem są cele i zadania Ligi Katolickiej?

Przed kilkunasty laty w świecie katolickim głośne było wezwanie, by *kapłani wyszli ze zakrystji*, t. j., aby pracowali nie tylko w kościele i nie ograniczali się do spełniania swoich powinności duszpasterskich w zakresie posług często duchownych. Dzisiaj rozlega się inne hasło, żeby mianowicie *świeccy katolicy wrócili do kościoła*, i to nie tylko po to, żeby uczestniczyć w nabożeństwach i praktykach pobożnych, lecz także po to, żeby razem z kapłanami i w ścisłem zespoleniu z nimi pracować nad *rozszerzeniem na ziemi królowania Chrystusowego.*

Hasło to jest zresztą naturalne, zrozumiałe i wobec tego, co zaszło w stosunku wiernych do kapłanów. *Między kapłanami a resztą wiernych* bowiem od pewnego czasu zaczęła się zarysowywać pewna *rozbieżność.* Nie mogło to pozostać bez skutków zgubnych i wielkiej szkody dla prawdziwych interesów ludzkości i dla zapanowania Zakonu Chrystusowego nad światem. Między prezbiterjum a nawą Kościoła zapadła jakby zasłona, która oddzielała jednych od drugich. Jakby pochodzili z innego świata, *kapłani i wierni zaczęli się nie rozumieć ze sobą* i zatracać wzajemny kontakt. W szeregach świeckich katolików niejednokrotnie uważano kler za coś odrębnego, co ma w życiu cele i interesa inne od celów i interesów reszty wiernych. *Troskę i starania o sprawy wiary świętej i Kościoła zostawiono wyłącznie księżom*, a *świeccy*, zajęci rzeczami doczesnemi *nie zajmowali się zagadnieniami religijno-społecznemi.* Skutek był ten, że wielki odłam świeckiego społeczeństwa katolickiego pogrążył się w wielką, często bardzo daleko sięgającą, *nieznajomość zasad wiary* i stał się pod względem religijno kościelnym *nieuświadomionym i obojętnym.* To znowu pociągnęło za sobą fakt, że wierni coraz powierzchowniej spełniali swoje obowiązki religijne, a z duchowieństwem nie tylko nie współdziałali, lecz owszem, odnosili się do niego z *niedowierzaniem i niechęcią.*

U nas w Polsce objawy te może nie występowały tak jaskrawo jak gdzieindziej, bo byliśmy w niewoli, a wiadomo, że w czasie niewoli katolicyzm i duchowieństwo katolickie było bardzo ważnym czynnikiem narodowym, nadto zaś głębokie uczucia religijne znacznej części naszego społeczeństwa sprawiało, że ów rozłam między klerem a wiernymi nie dokonywał się tak szybko. Jednak nie wolno się łudzić, że także i u nas, rozłam ten dzisiaj, po odzyskaniu niepodległości, coraz wyraźniej się zaznacza w rozmaitych formach.

Przebudzenie katolickie.

Na szczęście zdrowy instynkt katolicki społeczeństwa każe dostrzegać w rozłamie owym wielkie niebezpieczeństwo i zaczyna się budzić przekonanie, że katolikom świeckim nie wolno stać biernie, lecz że należy współdziałać z duchowieństwem w obronie zagrożonych interesów religji i Kościoła, i coraz więcej jednostek wśród katolików świeckich objawia szczerą chęć do wciągnięcia się do pracy katolickiej, nie dla siebie, lecz dla sprawy Bożej.

Nic dziwnego, że świadomość ta staje się coraz żywszą. I tak winno być, boć Chrystus Pan ustanowił osobny Sakrament, w którym łaska Ducha Świętego pasuje nas na Jego *rycerzy, wyznawców i współpracowników w dziele szerzenia Chrystusowego na ziemi królowania.* Charakter sakramentalny, w sposób niezatarty, wyciśnięty na duszy w Sakramencie Bierzmowania, jest znakiem zaliczenia nas do żołnierstwa Chrystusowego i uczestnictwa w kapłaństwie Chrystusowem. Uczestnictwo to, choć świeckim katolikom nie daje władzy kapłańskiej, przecież nakłada na nich szczytny obowiązek pracy dla Chrystusa i Jego Kościoła.

Liga zaś Katolicka bierze sobie za cel zszeregowanie świeckich katolików i wciągnięcia ich do zorganizowanej pracy dla interesów religji i Kościoła .

Rzecz nie nowa, tylko nazwa.

Liga Katolicka, wobec tego, co się właśnie powiedziało, nie jest żadną nowością. Nową jest tylko nazwa. Liga bowiem bynajmniej *nie ma zastąpić istniejących już stowarzyszeń katolickich*, bractw i tym podobnych dzieł, działających na niwie katolickiej. Celem Ligi jest tylko zjednoczenie tych wszystkich zrzeszeń katolickich, oraz innych czynników jeszcze nie zorganizowanych, aby je zespolić bardziej z całością interesów i potrzeb katolicyzmu i uzgodnić je z niemi.

Poszczególne bowiem te dzieła katolickie mają do spełnienia szczególne, im tylko właściwe zadania, jak n. p. świadczenia dobroczynne i uczynki miłosierdzia, wewnętrzne wyrobienie członków i t. p. To sprawia, że te pojedyńcze zrzeszenia katolickie są ograniczone w swej działalności i jakby w sobie zamknięte i zacieśnione. Liga nie ma tedy zamiaru zastąpić je i wkraczać w zakres właściwych im zadań, lecz celem jej jest skupić i zjednoczyć te zrzeszenia, oraz poszczególne jednostki katolickie (do żadnych jeszcze stowarzyszeń nie należące) i skierować je ku wspólnemu wszystkim dobru i ku ogólnym interesom wiary i Kościoła.

Dla zabezpieczenia sprawności organizacyjnej i charakteru swego katolickiego Liga kato-

licka musi być zbudowana jak najściślej na fundamencie hierarchicznym Kościoła, czyli musi się składać z Lig najpierw parafjalnych, jako podstawowych i najmniejszych form organizacyjnych parafjalnych, te zaś tworzyć muszą jednostkę diecezjalną. Z temi zasadniczemi członami budowy Kościoła, Liga Katolicka musi pozostawać w jak najściślejszym organizacyjnym związku zarówno pod względem ustroju, kierownictwa i władzy, jako też pod względem pracy i całej wogóle działalności. Chrystus Pan bowiem Kościół swój zbudował na opoce władzy przez Siebie ustanowionej rzymskiego biskupa, czyli Papieża, biskupów i dodanych im proboszczów. Wszelkia tedy działalność, która chce być Chrystusową, musi pozostawać w zależności od tej władzy hierarchicznej, a żadna organizacja czy akcja, która tej zależności nie uznaje, na nazwę Chrystusowej nie zasługuje. Przez to zespolenie z władzą kościelną Liga Katolicka staje się organem samego Kościoła i niejako przedłużeniem ramion jego pasterzy, rozszerzeniem jego działalności wśród wiernych i przez wiernych.

Najściślejszy związek Ligi Katolickiej z władzą kościelną, a zatem Ligi parafjalnej z proboszczem, a diecezjalnej z biskupem, daje też najlepszą gwarancję, że Liga w swem istnieniu nie zawiśnie niejako w powietrzu, a w swej działalności nie rozpłynie się w szerokich falach ogólników i czczych haseł, lecz sięgnie do samych podstaw struktury społecznej i będzie działać na szerokie masy ludności, szeregując je w obozie Chrystusowym.

Z tego wynika już odpowiedź na pytanie,

jaka jest organizacja Ligi.

Centralny zarząd Ligi znajduje się przy biskupie diecezjalnym, który jest jej zwierzchnikiem i kierownikiem. Zarząd nadaje kierunek wszystkim kołom Ligi Katolickiej w obrębie danej diecezji. Z czasem, według potrzeb i uznania władzy kościelnej zarząd diecezjalny Ligi wchodzi w porozumienie z zarządami Lig innych diecezyj polskich, już istniejącemi i mającemi powstać. W miejscowościach, w których jest większa liczba parafij, istnieje zarząd miejscowy, łączący koła parafjalne Ligi Katolickiej danej miejscowości, a składający się z przedstawicieli poszczególnych Lig parafjalnych, zrzeszeń i dzieł katolickich, pracujących na terenie tego miasta. Podstawą jednak i zasadniczą komórką organizacyjną Ligi są jej koła parafjalne, czyli Ligi parafjalne, rozsiane po wszystkich parafjach.

Ponieważ podstawą organizacyjną Ligi katolickiej jest parafja, dlatego zasadniczo powinni parafjanie należeć do swej Ligi parafjalnej. Wyjątki naturalne są możliwe. **Najważniejszą rzeczą jest to, że członkami Ligi powinni być katolicy z przekonania i żyjący według zasad katolickich.**

Jaki jest zakres zadań Ligi parafjalnej?

Stoi ona, jak się powiedziało, przy boku proboszcza, i z nim razem pracuje nad sprawami katolickiemi danej parafji, oraz nad temi, które jej zostaną przekazane i zlecone przez Centralny Zarząd diecezjalny.

Zadań przed Ligą parafjalną otwiera się mnóstwo. Wyłonią się one w sposób nieraz bardzo indywidualny, jako zawarunkowane stosunkami danej parafji. Dlatego wyczerpujące ich wyliczenie jest niemożliwe. Ale na najważniejsze, i bodaj wszystkim wspólne, godzi się pokrótce zwrócić uwagę.

Jako jedną z pierwszych i ideowo najważniejszych czynności Ligi parafjalnej będzie *uświadamianie członków* i zapraszanych na zebrania parafjan w sprawach religijnych i z religją związanych. Gruntownego i wszechstronnego, a przystępnego omówienia domagają się dzisiaj od Ligi tematy aktualne, które życie ze sobą niesie, a na które znaleźć odpowiedź zgodną z nauką katolicką nie zawsze każdemu łatwo, że wymienimy tylko zamachy na naukę i ustrój Kościoła, urządzone przez sekciarstwo nowoczesne, powszechny upadek moralności chrześcijańskiej itp. W tym celu Liga przez pogadanki wśród samych zaproszonych prelegentów będzie szerzyć prawdziwą oświatę katolicką, przez popieranie lub zakładanie bibljotek dzieł katolickich będzie się starać uczynić zadość potrzebie lektury zdrowej, usuwając wedle możności utwory złe i niebezpieczne zarówno pod względem religijnym, jak obyczajowym i społecznym. Liga katolicka dążyć będzie do tego, żeby jej członkowie o sprawach religji, Kościoła, moralności chrześcijańskiej prywatnej i publicznej byli informowani w duchu nieprzedawnionych zasad nauki Chrystusowej, których stróżem jest Kościół katolicki. Przy ułatwionej dzisiaj wymianie myśli wskutek ruchu międzynarodowego i wszechświatowego zasady sprzeczne z zasadami Kościoła szerzą się znacznie szybciej aniżeli to było możliwe dawniej, skutkiem czego niejeden, zanim się zdoła poinformować po katolicku, nieopatrznie wpada w nastawione sieci błędu.

Szczególną pieczą Liga otoczy i osobliwą uwagę poświęci ruchowi religijno-moralnemu akcji katolickiej tak w kraju, jak i za granicą, bo doświadczenie uczy, że znajomość tych spraw w wielkim stopniu przyczynia się do rozbudzenia uczucia łączności katolickiej z wielką powszechną, katolicką, społecznością kościelną.

Dla tych celów — mogłoby się wydawać, że powinna wystarczyć ambona i nie potrzeba osobnych organizacyj. Tymczasem wiadomo wszystkim, że dzisiaj gwałtownie domaga się omówienia mnóstwo takich spraw wysoce doniosłych, które trudno wprowadzić na ambonę już to dla tego, że są zanadto zrośnięte z aktualnemi bieżącemi zagadnieniami doczesnemi, już też z tego powodu, że dla należytego zrozumie-

nia trzeba je nietylko wygłosić, lecz szczegółowo omówić za pomocą wymiany zdań, co w kościele jest niedopuszczalne. Co jednak najważniejsze, to to, że całe mnóstwo spraw nie wystarczy tylko zrozumieć, lecz trzeba je natychmiast w czyn wprowadzić, a do tego musi się wybrać odpowiednich ludzi, którzyby się podjęli wyciągnięcia praktycznych konsekwencyj ze słyszanych wywodów i zabrać się do pracy.

Obecny ustrój państwowy sprawia, że dla przeprowadzenia słusznych i sprawiedliwych postulatów należy się nieraz posługiwać zbiorowemi wystąpieniami. Liga będzie w tym względzie mieć wielkie zadanie do spełnienia, gdy będą się rozgrywały ważne sprawy, obochodzące bądź daną miejscowość czy okolicę, bądź kraj cały, bądź wreszcie Kościół jako taki.

W ścisłem porozumieniu z centralami Liga parafjalna będzie dawać inicjatywę do wnoszenia, względnie będzie sama wnosić adresy, petycje, memorjały, protesty i t. p. do władz, do innych organizacyj lub do całego społeczeństwa. Wiadomo, jakie znaczenie może mieć taka forma działalności dla poruszenia — ujednostajnienia opinji nawet najodleglejszych zakątków kraju.

Liga katolicka, stojąc na straży ogółu interesów religijno-moralnych parafji, a przez parafję diecezji, dołoży starań, by możliwie wszystkie potrzeby katolików i katolicyzmu w dziedzinie religijno-moralnej były zaspokojone należycie. — Dlatego będzie ona dbać o to, żeby powstawały, gdzie ich niema, instytucje czy stowarzyszenia dla poszczególnych działów pracy katolickiej, a gdzie takie dzieła już istnieją, żeby należycie spełniały swoje zadania, nie przeszkadzały sobie wzajemnie i nie tworzyły niezdrowej konkurencji, lub też nie były opanowywane przez ludzi niedołężnych lub przewrotnych. W każdej parafji powinno tedy istnieć jakieś dzieło miłosierdzia chrześcijańskiego, czy to będzie konferencja św Wincentego a Paulo, czy Komitet parafjalny na wzór Komitetów parafjalnych w Krakowie, gdzie one rozwijają nader błogosławioną działalność, czy opieka nad młodzieżą szkolną lub pozaszkolną, zrzeszenia katolickich robotników, czy inne zawodowe lub oświatowe i t. p.

Katolicka opinja publiczna.

Bardzo ważnem zadaniem Ligi Katolickiej jest wyrabianie i umacnianie w społeczeństwie publicznej opinji katolickiej. Silna i zwarta katolicka opinja publiczna jest potężną zaporą przeciw wszelkiej deprawacji moralnej. Jest ona środkiem daleko skuteczniejszym od wszelkich zatargów władzy. Brak opinji katolickiej jest jednym z powodów, dlaczego bezkarnie uchodzi i panoszy się wszelkiego rodzaju wyuzdanie, szerzące się w oczach naszych tak bezczelnie, że wypadałoby nieraz zadać sobie pytanie, czy my jeszcze jesteśmy społeczeństwem chrześcijańskiem. Brak silnej i zwartej, odważnej i śmiałej, światłej i uświadomionej opinji publicznej katolickiej sprawia, że toleruje się wszelki możliwy bezwstyd w ubraniu, w tańcach, w zakazanych stosunkach, przez palce się patrzy na nieuczciwość wszelaką, pobłaża się oszustwom, marnowaniu grosza publicznego i t. d. Tym stosunkom trzeba raz położyć tamę, może tego dokonać stanowczo opinja publiczna, wskazując co wolno, a czego nie wolno. Będzie to też wielką zasługą Ligi Katolickiej, jeżeli się jej uda sprowadzić społeczeństwo z tych bezdroży, wytwarzając w niem jasną opinję katolicką.

Czy polityka?

Pozostaje nam jeszcze odpowiedzieć na podnoszone niejednokrotnie wątpliwości, obawy czy zarzuty, że tego rodzaju organizacje i zrzeszenia katolickie kryją w sobie zamiary polityczne. — Wątpliwości te mogły się wzbudzić tylko u nas, gdzie na nieszczęście utarło się pojęcie, że polityka musi być odrazu partyjnictwem, bo w politycznej akcji wielu nie szuka dobra Ojczyzny, lecz zaspokojenia takich spraw, które z dobrem Ojczyzny bardzo mało mają wspólnego. Takiej polityki *Liga Katolicka* będąc zrzeszeniem katolickiem na gruncie katolickim, nie tylko nie może, ale nawet nie chce uprawiać, *do żadnej partji nie należy i należeć nie będzie*, ani też żadnemu stronnictwu służyć nie będzie. Do Ligi mogą należeć członkowie wszystkich partyj byle — ich zasady nie stały w sprzeczności z zasadami Chrystusowemi.

Zresztą Liga Katolicka, jako organ Kościoła w sprawie swego stosunku do polityki za jedynie miarodajne mieć będzie wskazania i zlecenia Ojca świętego. Ojciec święty zaś dla akcji katolickiej, której służyć będzie u nas Liga Katolicka, takie oto dał wskazania: „Akcja katolicka wznosi się ponad wszelkie partje polityczne i rozwija swoją działalność poza stronnictwami politycznemi. Akcja katolicka ani nie chce uprawiać polityki partyjnej, ani też nie chce być żadnem stronnictwem politycznem“.

Katolicy wszelako mają takie samo prawo czynnego i rzetelnego interesowania się sprawami publicznemi, jak wszyscy inni obywatele kraju. Dla katolików zresztą prawo to jest równocześnie obowiązkiem, płynącem z Boskiego przykazania miłości Ojczyzny, która to miłość dla nich jest nie tyle postulatem uczucia, co religijnym obowiązkiem, obowiązkiem sumienia. Obowiązek ten nakazuje katolikom dążyć wszelkiemi siłami do tego, żeby w Ojczyźnie było pod każdym względem dobrze, co znaczy zarazem, żeby także polityka była uczciwa i zgodna z prawami Boskiemi. Gdybyśmy pod tym względem byli obojętni i zgłaszali swoją neutralność, słusznieby nam zarzucono, że jesteśmy złymi Polakami. To też tego rodzaju starania nie myślimy się wyrzekać, ani też nikt nie ma prawa nam tego zabraniać.

Stwierdzając to, wiemy dobrze, iż postępujemy zgodnie z nauką Ojca św., który do przytoczonych powyżej słów dodał wyraźnie także i te słowa: „Mężowie katoliccy wiedzą jednak

dobrze, iż to nie znaczy, jakoby się należało nie troszczyć o sprawy polityczne, o ile one dotyczą dobra powszechnego w odróżnieniu od korzyści prywatnej. Akcja katolicka pragnie przygotować i wyszkolić pilitycznie sumienia obywateli i także na tem polu dokonać pracy chrześcijańskiej i katolickiej".

A kardynał Gasparri, sekretarz stanu Jego Świątobliwości, w piśmie do komandora Alojzego Colombo, prezydenta centralnego wydziału Akcji katolickiej w Italji, wyraźnie zaznaczył, że „Akcja katolicka z natury swej, jako Apostolstwo chrześcijańskie, mając za cel stać na straży najwyższych interesów Kościoła i dusz nieśmiertelnych, i stojąc ponad fluktuacjami politycznych stosunków i walk partyjnych, winna wszakże kroczyć po tej drodze, którą jej nakreślił Pasterz Najwyższy i jego poprzednicy na Stolicy Apostolskiej".

To też Liga Katolicka pilnie będzie baczyć, by tak w obrębie parafij, jak i w całem państwie były przestrzegane, zachowane i uszanowane zasady wiary i obyczaju chrześcijańskiego. W tym też kierunku będzie ona poczytywać za swój obowiązek i za swoje prawo pouczać swoich członków i oddziaływać na społeczeństwo i na czynniki rządzące, stosując się w tej mierze oczywiście jak najściślej do wskazówek centrali diecezjalnej.

Zadań więc i pracy Lidze Katolickiej nie zabraknie, bo pracy jest wiele, zadań i spraw piekących i ważnych jest mnóstwo.

Nie łudzimy się, byśmy zdolali wszystkim tym zadaniom sprostać odrazu, ale rozpocząć pracę trzeba i wytrwać w niej, idąc powoli, systematycznie i nieustraszenie naprzód. Jeżeli mamy w jedno słowo ująć zadanie i istotę Ligi Katolickiej, to za przykładem Ojca Świętego należy powiedzieć, że Liga Katolicka jest *apostolatem ludzi świeckich*. Jest to nazwa zaszczytna i powołanie wzniosłe, bo oznacza współpracę nad ziszczeniem tej prośby, którą wszyscy odmawiamy w codziennym pacierzu: *„Przyjdź Królestwo Twoje!"* Niechaj nam to doda bodźca, byśmy się z zapałem zaciągnęli do szeregów Ligi Katolickiej, wytrwali w tych szeregach, pracując w nich gorliwie w przekonaniu, żeśmy spełnili najpiękniejszy obowiązek względem Boga i Ojczyzny.

W sprawie Y. M. C. A.

Do wiernych Archidjecezji Krakowskiej.

Niedługo po wojnie światowej, bo jeszcze w roku 1921 zwróciliśmy uwagę wiernym Naszej diecezji i przestrzegaliśmy ich przed rozmaitemi organizacjami, niebezpiecznemi dla wiary katolickiej, jakie z zagranicy do nas licznie napłynęły. Wymieniliśmy między innemi także organizację opiekującą się młodzieżą, a znaną pod początkowemi literami nazwy angielskiej Y. M. C. A. u nas Imką zwanej. To, co powiedzieliśmy wtedy, że jest to organizacja, wkraczająca wybitnie i niebezpiecznie w dziedzinę religijną, od tego czasu się nie zmieniło, ale owszem, zostało potwierdzone. Działalność jej za granicą Polski okazała się tak niebezpieczną dla katolicyzmu, że wielu Księży Biskupów wydało publiczne listy przeciwko niej, a także i Stolica Święta była zmuszoną stanowczo przestrzec cały świat katolicki przed jej wpływem.

U nas w Polsce ludzie, o których jesteśmy przekonani, że mają jaknajlepsze zamiary, starali się, przystępując do niej, uczynić ją niezależną od światowego jej kierownictwa i wyzyskując dobre strony jej działalności, zagrodzić drogę szkodliwym wpływom religijnym. Mimo jednak tych usiłowań, o ile wiemy, nie udało się jeszcze uzyskać dla polskiej organizacji tej niezawisłości, jakaby mogła społeczeństwu naszemu katolickiemu zapewnić, iż działalność Y. M. C. A. u nas będzie wolna od niebezpieczeństw, jakie towarzyszą jej działalności zagranicą, że więc będzie ona zupełnie zgodną z zasadami katolickiemi. Wobec więc ogłoszonego w pismach tak uroczystego otwarcia jej lokali, jakie nastąpiło w tych dniach w Krakowie, jakoteż licznych zapytań, zmuszeni jesteśmy jeszcze raz powtórzyć to, cośmy przed laty powiedzieli.

Jesteśmy wszyscy przekonani, że naszemu społeczeństwu potrzeba zdrowia i sił fizycznych, ale jeszcze bardziej potrzeba sił moralnych i stałych zasad. Nie chcemy zaprzeczać, że organizacja Imki może przyczynić się do wyrobienia naszej młodzieży, jednak musimy uznać, że wprowadzenie jej w atmosferę, choćby tylko wątpliwości religijnych i jakiejś nieuchwytnej międzynarodowej religijności, wyzutej ze stałych zasad, musi się odbić szkodliwie na jej przekonaniach i podkopać w sumieniach wszelką pozytywną religję, a tem bardziej prawdziwe chrześcijaństwo, zawarte w katolicyzmie. Wierzymy bowiem zapewnieniom, że Y. M. C. A. u nas nie występuje otwarcie przeciw Kościołowi katolickiemu i wierze katolickiej, jednak stawiając na równi wszystkie wyznania chrześcijańskie, tem samem osłabia przekonania katolickie i stwarza wielkie niebezpieczeństwo indyferentyzmu, osłabia siłę zasad, jakie winny kierować naszem życiem.

Przeto winniśmy wszelkiemi siłami popierać te organizacje, które jasno krzewią zasady katolickie, wzmacniają w duszach jednolitość przekonań i dają silną podstawę do jednolitego urobienia charakteru. Popieranie organizacyj, choćby tylko niejasnych pod tym względem i niezdecydowanych jest szkodą dla naszych przekonań religijnych, ale tak samo osłabieniem sił naszej pracy społecznej. Wiedzeni temi powodami i z obowiązku pasterskiego musimy przestrzec wiernych Naszej archidiecezji, wskazując obowiązek sumienia niepopierania i niebrania udziału w takiej organizacji, której celów i zasad z zasadami katolickiemi pogodzić nie można.

W Krakowie, dnia 6 kwietnia 1927 roku.

ADAM STEFAN SAPIEHA,
Książę Metropolita Krakowski.

Z LITURGIKI

Ewangelja na Uroczystość Wielkiej Nocy

według św. Marka, r. XVI.

„Onego czasu, gdy minął Szabat, Marja Magdalena i Marja Jakóbowa i Salome nakupiły wonnych olejków, aby przyszedłszy namazały Jezusa. A bardzo rano pierwszego dnia z szabatów przyszły do grobu, gdy już wzeszło słońce. I mówiły między sobą: Kto nam odwali kamień ode drzwi grobowych? A spojrzawszy obaczyły odwalony kamień, a był bardzo wielki. A wszedłszy w grób, ujrzały młodzieńca siedzącego po prawej stronie, ubranego w szatę białą; i zdumiały się. Który im rzekł: Nie lękajcie się, Jezusa szukacie Nazareńskiego, ukrzyżowanego: wstał, nie masz Go tu: oto miejsce, gdzie Go położono. Ale idźcie, powiedzcie uczniom Jego i Piotrowi, iż was uprzedza do Galilei: tam Go ujrzycie, jako wam powiedział".

Niedziela Zmartwychwstania Pańskiego.

ALLELUJA!

Co znaczy słowo „Alleluja", w czasie Wielkanocnym tak często śpiewane?

Pochodzi z hebrajskiego powiedzenia „*Hallelu-Jah*" i znaczy dosłownie „Chwalcie Boga". Ale już u Żydów straciło właściwe dosłowne znaczenie, a stało się okrzykiem radości.

Chrześcijanie przejęli od żydów „Alleluja" już jako okrzyk wesela, i dlatego należy ten wyraz do najstarszych pamiątek w liturgji, od dwudziestu wieków jest już powtarzany i śpiewany, i nie przestanie rozbrzmiewać po ziemi aż do końca świata; nawet w niebie nie ustanie ten śpiew radości i zwycięstwa. Św. Jan w swem Objawieniu tak pisze: „I słyszałem jako głos rzeszy wielkiej i głos wielkich gromów, mówiących: „Alleluja", iż królował Pan Bóg". (Objaw. 19, 6).

„Alleluja", to śpiew radości, bo Chrystus zmartwychwstał, cześć i chwała Mu za to. „Alleluja", to śpiew wdzięczności, bo nas odkupił, z niewoli szatana wyzwolił, przeprowadził nas przez Morze Czerwone — wodę chrzcielną, dał nam mannę — Swoje Ciało w Komunji świętej.

Chwała Mu za to! „Alleluja", to śpiew uwielbienia, bo Chrystus żyje, śmierć nie ma nad Nim władzy, już skończone dni smutku.

„Alleluja" śpiewane, według chorału gregorjańskiego, to jedna najpiękniejsza i najbogatsza melodja, bo zwykle w graduale podstawione pod 20—80 nut jest wyrazem uczuć i nastrojów, jest spowiedzią duszy, okrzykiem Kościoła modlącego się, a w tym okrzyku streszczone są wszystkie modły, podziękowania, uwielbienia i podziw, radość i miłość, różne melodje, zależnie od święta i pamiątek obchodzonych. Warto przysłuchać się jak wzniośle, wspaniale, brzmi na Wielkanoc, Trzech Króli, Zielone Świątki, albo w IV. niedzielę Adwentu.

„Alleluja", to śpiew Wielkanocny, ale Wielkanoc w każdą niedzielę przeżywamy, stąd śpiewa „Alleluja" Kościół przez cały rok i w Adwencie (prócz Postu).

„Alleluja" — Chwalmy Boga! Weselmy się, beśmy odkupieni, beśmy pod wodzą Zwycięscy-Króla-Chrystusa! Kto Wielkanocnej spowiedzi nie odprawił, kto tylko ten świat rozumie, kto nie cierpiał z Chrystusem, nie pokutował za grzechy, kto nie ma wiary, ani modlić się nie umie, kto nie wierzy w Chrystusa, ten nie odczuje, nie zrozumie śpiewu „Alleluja!". Próżno mówić i pisać: „Wesołego „Alleluja", i tak smutek będzie.

2. Msza św. z Niedzieli Wielkanocnej

Tak prosta — jak i brewjarz, który na cały tydzień wielkan. bez ozdób, hymnów i różnych późniejszych śpiewów — nie sili się na wywołanie w nas radości, bo na wielkie wzruszenia i porywy duszy nie ma zwykle słów w mowie ludzkiej. Msza tego dnia jedną myślą przejęta: „*Chrystus Zmartwychwstał*", a nadto powtarza się w niej ciągle zdanie Pawłowe: „*Nasz Baranek Wielkanocny ofiarowany jest Chrystus*".

Wstęp — introit: Chrystus Zmartwychwstał i my zmartwychwstaniemy, ale też jużeśmy zmartwychwstali: przy chrzcie, przy spowiedzi i Komunji świętej. W introcie staje przed nami i przed Swym Ojcem Niebieskim i sam o sobie śpiewa jedyną pieśń poranną wielkanocną: „*Powstałem — i odtąd jestem z tobą, Alleluja!* Położyłeś na mnie rękę swoją. Alleluja!" (Ps. 138).

Dziś „*Gloria in excelsis*" ma szczególne znaczenie w zdaniu: „*Baranku, Synu Boży, który gładzisz grzechy świata, zmiłuj się nad nami*". *Kolekta.* Dwa w niej obrazy: 1-o na Golgocie Chrystus zwyciężył śmierć i 2-o otworzył nam niebo-raj — stąd prośba o zwycięstwo nad grzechami i pokusami. „*Panie, Tyś zwyciężył dziś śmierć przez Syna Swego i otworzył bramy wieczności, wypełnij pragnienia nasze*". W *lekcji* św. Paweł stawia nam przed oczy żydowską Wielkanoc, która przedobrażała, wskazywała naszą, nową.

Baranek zabity — Chrystus zabity, ofiarowany i przygotowany na pokarm dla nas.

„*Bracia wyczyśćcie stary kwas,* (żydzi zanim baranka wielkanocnego jedli musieli stary kwas, chleb i t. p. z domu usunąć, tu apostoł przez kwas rozumie grzech). *abyście się nowymi stali, bo i tak jesteście już bez kwasu* (przez chrzest i spowiedź wielkanocną). *Albowiem nasz Baranek Wielkanocny, Chrystus, został ofiarowany. Dlatego świętujmy ni h*



Zmartwychwstanie Chrystusa.

grzechach, ani w kwasie złości i przewrotności, lecz przy niekwaszonym chlebie czystości i prawdy". (1 Kor. 5, 7—8). W *Graduale* psalmu wielkanocnego słowa (coś 10 razy codziennie aż do soboty powtarzane). „Ten jest dzień, który uczynił Pan: radujmy się i weselmy się weń". (Ps. 117. 24). Dziś jest we mszy Sekwencja — hymn hołdu Chrystusowi. *„Królu, zwycięsco zmiłuj się nad nami"*. Ewangelja (Marka 16. 1—7), w niej uczeń Piotra św. Marek opowiada co się stało rano przed wschodem słońca; niewiasty (z Magdaleną) idą do grobu. Chodźmy i my z niemi! Anioł im powiada, nam zaś Kościół głosi i do wierzenia podaje, że Chrystus zmartwychwstał, jak przepowiedział, jak to przepowiedzieli i prorocy. W *ofertorjum* (Ps. 75. 9.10) wspomnienie trzęsienia ziemi przy zmartwychwstaniu. *Prefacja* wielkanocna (aż do Wniebowstąpienia). *„Słuszną rzeczą... abyśmy Ciebie zawsze, a zwłaszcza w tym dniu* (czasie) *radośnie chwalili, gdy Chrystus ofiarował się za nas jako nasz Baranek Wielkanocny. On bowiem jest prawdziwym Barankiem, który zgładził grzechy świata; który Swoją śmiercią zniszczył naszą śmierć, a Swem zmartwychwstaniem przywrócił nam życie". Dlatego z Aniołami.... śpiewamy bez ustanku mówiąc: Święty, Święty, Święty"*. Jak głęboka a krótka nauka w tej prefacji! Podczas komunji znów słowa św. Pawła: Chrystus, nasz baranek wielkanocny, ofiarowany jest, przygotowany na pokarm dla nas. Przez cały tydzień: Ite missa est z podwójnem alleluja.

3 Tygodniowy Kalendarz liturgiczny

Podobnie jak Wielki, tak i ten tydzień jest uprzywilejowany, żaden święty nie ma osobnego nabożeństwa, wszystko (aż do soboty) zajęte Zmartwychwstaniem, chrztem, Komunją św., wogóle katechumenami. Jest oktawa (święto przez ośm dni) wielkanocna, pierwszej klasy, wzór dla innych oktaw; ona najstarsza jak samo święto — coś od 35 wieków obchodzona.

Poniedziałek Wielkanocny. Msza św. zwraca się do katechumenów. W *lekcji* św. Piotr ma pierwsze kazanie do pogan, mówi o życiu, śmierci i Zmartwychwstaniu Jezusa. (Dzieje Apost. 10/37 - 43). W ew. św. Łukasz (24, 13 - 35) tak wyraźnie opisuje jedno z najpiękniejszych wydarzeń w życiu Chrystusa. Do Emaus idą dwaj uczniowie, smutni: przyłącza się do nich Jezus, niepoznany, poucza, że Chrystus musiał cierpieć. Poznają Go przy stole po łamaniu chleba. *„Panie, zostań z nami, bo się ma ku wieczorowi"*.

Wtorek Wielkanocny. Msza znów do katechumenów. (u św. Pawła). w lekcji apostoł (Dzieje Apost.) naucza o Zmartwychwstaniu Jezusa. w ewangelji (Łuk. 24, 36 - 47) zjawia się między uczniami, pozdrawia ich: *„Pokój wam"*.

Środa Wielkanocna. (W Rzymie u św. Wawrzyńca:). Msza ma na myśli katechumenów. W lekcji św. Piotr (Dzieje Ap. 3, 13 - 19) wyraźnie zaznacza. *„Jesteśmy świadkami Zmartwychwstania"*. W ew., Chrystus ukazuje się uczniom nad jeziorem Tyberjackiem (Jan 21, 1 - 14) uczeń najmilszy poznaje Go zdaleka.

Czwartek Wielkanocny. Dzień, poświęcony Magdalenie. W brewjarzu przecudne i rzewne responsorja: *„Złóżcie mi życzenia, wy wszyscy, którzy kochacie Pana, albowiem, któregom szukała, ten się mi ukazał. Choć uczniowie od grobu odeszli, ja nie odeszłam. Gdy tam płakano u grobu, zobaczyłam Pana, alleluja.* Msza, w lekcji Filip djakon chrzci ministra królowej Etjopji. W ew. (Jan 20. 11 - 18) Chrystus ukazuje się Magdalenie, jako ogrodnik, pyta się jej, czego płacze i kogo szuka. Ona zaś pyta go, gdzie ukrył ciało Zbawiciela. W końcu daje się jej poznać. „Marjo! woła ją po imieniu. Kazał jej ogłosić uczniom swe zmartwychwstanie. Nagrodzona została jej miłość i wytrwałość.

Piątek Wielkanocny. Dziwna dziś Msza, ciekawe zestawienie myśli o grzechu, krzyżu chrzcie i Zmartwychwstaniu. W ewangelji (Mat. 28. 16 - 20) ukazuje się uczniom na jednej górze w Galilei, daje im zlecenie: „Idźciei i nauczajcie wszystkie narody, chrzcijcie je w imią Ojca, Syna i Ducha św.".

Sobota Wielkanocna, czyli Biała. We Mszy św., aż się roi od wzmianek o białej szacie. Dziś po nieszporach zdejmowali katechizmeni białe szaty. W ewang. (Jan. 20. 1 - 9) Magdalena donosi św. Piotrowi i Janowi, że Chrystusa niema w grobie.

X. M. K.

Smierć biskupa na kazalnicy.

Okrojone królestwo węgierskie pokryte wstrząsającą żałobą. Dnia 2-go kwietnia wygasło najszlachetniejsze serce ziemicy św. Stefana, zmarł ks. biskup Ottokar Prohaszka.

Zmarł niezwykle, bo na kazalnicy, z której od 26 lat rzucał snopy światła ewangelicznego. Od roku 1901 głosił ks. biskup Prohaszka swe płomienne rekolekcje dla inteligencji. Czarującem słowem, promieniującą wiarą i znaną powszechnie świętością życia kładł podwaliny pod gmach Węgier chrześcijańskich. On jest bowiem twórcą dzisiejszego rozkwitu katolickiego na Węgrzech.

Czcili go nawet wrogowie: żydzi, lutrzy, kalwini, przyznając mu publicznie palmę życia ewangelicznego. Mimo niezwykłej wiedzy i szczytnych godności, miał serce gołębiej prostoty i oszałamiającej swą wonią pokory. Była to dusza Chrystusowa. Ulubioną pracą biskupa Prohaszki była kazalnica. Skruszył, nawrócił, pojednał z Chrystusem najtwardsze serce, najpyszniejsze umysły. Nie on to czynił, ale łaska Boża, której on był wonnem naczyniem. Życiem uczył i nawracał. Całe Węgry pełne są smutku, ale i radosnego przekonania, że budapeszteński kaznodzieja uniwersytecki będzie wnet — świętym.

DODATEK WIELKANOCNY

MARJA CZESKA MĄCZYŃSKA.

Na Zmartwychwstanie.

Jam jest, com umarł za ciebie mój ludu,
Jam jest, co, co dnia umieram od nowa
i co dnia nowa, cierniowa korona,
w skroń mi się wpija schyloną od trudu.
Co dnia, smagają mnie wasze uśmiechy,
co dnia, krzyżują mnie serc waszych grzechy.
A jednak... czekam zmartwychwstania cudu.
I jestem z wami...
I zostanę z wami
Ja, wasz przewodnik na drodze żywota,
Jak długo, czyjaś woła mnie tęsknota,
i krzyż mój zdobi miłości kwiatami.
Jak długo, bodaj jedno ludzkie serce,
litości mojej przyzywa w rozterce
i winy świata, zmywa swemi łzami.
I jestem z wami, ja pasterz litosny.

Szukam was, zbieram, po kwietnych bezdrożach
i stopy ranię, po lądach i morzach.
Ja, wasz przewodnik, w kraj wieczystej wiosny,
wiecznego światła i wiecznej miłości.
Ja, źródło dobra! Ja, wszechświat radości.
Ja, zwiastun życia, wasz ojciec miłosny.

I jestem z wami, gdy wszystko odbieży...
Gdy świat opuści a śmierci godzina
czerń swoich skrzydeł w około rozpina,
gdy duch się zmaga na życia rubieży
i bije kędyś godzina ostatnia...
To przy was czuwa, moja miłość bratnia,
nie czuje lęku, ten, kto we mnie wierzy.

Bo jam jest Chrystus!
Jam jest Zmartwychwstanie!
Bo jam jest Światłość!
A przez śmierci wrota,
w moje was państwo przywodzi tęsknota,
w moje was państwo, wiedzie miłowanie.
Kto, w dobroć wzrasta, ten do niebios sięga,
bo się w nim ducha płomieni potęga
i jego działem,
będzie —
Zmartwychwstanie!

JAN ZARAŃSKI.

Jejmość pani straganiarka.

(Wszelkie prawa zastrzeżone).

Z pod rozpiętego szarego parasola padał cień na stragan uliczny, na którym piętrzyły się piramidy owoców, jakby kule słońca, spłonione rumieńcami. Rozmaite odmiany jabłek, co dopiero zerwane, jeszcze woniejące sadem, szelestem jesiennych liści i świeżością zimnych poranków. Gruszki wytopione z żółtego wosku. Śliwki omglone błękitnym powiewem pyłu. Dorodne owoce uśmiechały się żywemi barwami i przynęcały oczy, niby kwiaty oblepione miodem, wabiące pszczoły.

Przestrzeń wokoło zapełniał zapach i smakowitość skarbów złotej jesieni.

Za kramem rozczapierzała się jejmość właścicielka, mieszczka z dziada, pradziada, patrząca na miasto niby na swoją własność i paradująca w dumie jego przeszłości. Teraz siedziała rozparta, odęta niby wykrochmalona spodnica w niedzielę. Uśmiech na jej pomarszczonej a tak wypogodzonej dzisiaj twarzy, jakby różowy kwiat jabłoni, nagle rozkwitł pod błękitnem niebem i w słońcu. Bo też w słońcu jej szczęście dojrzało i w słodkim miąższu kryło tajemnicę, ziarna, z których nowe sady kwitną.

— Jutro! Jutro!

Wyraz z bożego drzewa zerwany, wonią wesela przewiany i ich kolorami ubarwiony.

Jutro jedyny syn zdaje doktorat. Jutro rozpocznie nowe życie. Lekarzem zostanie. Zdolny. Wszyscy jej zazdroszczą łaski, pociechy na starość. — „Doczekała się pani, doczekała. Nie żal pracy". — Pójdzie jutro na uniwersytet, żeby na swoje szczęście popatrzeć. Święto dla niej. Dziecko na ludzi wyprowadziła. Teraz zamieszka przy synu. Odpocznie choć w ostatnich latach. Dość napracowała się i naharowała. Jej życie na mrozie, na wichrze, w zadymkach, skulone, biedne, zmarznięte, jak ręce żebraczki w zimie mroźnej, grzejące się na ognisku słowa „synuś". W zimie było ono ciepłem, w lecie cieniem, ochłodą i chustą, ścierającą skwarny pot z utrudzonego czoła matki. Już nie pójdzie na ulicę, wypędzana biedą i spojrzeniem głodnego dziecka: „dajcie jeść". Sprzedawała owoce zawsze w tem samem miejscu od dwudziestupięciu lat, od śmierci męża. Ćwierć wieku kamienie czuły jej nogi, przyrastały do stóp i nieraz zdawało się jej, że wracając do domu w nocy dźwiga trotoary całego miasta.

Od ust sobie odkładała, ile to razy nie doważyła, oszukała, brała grzech na sumienie, byleby syn ciężko nie pracował.

— Adasiu... dziecko moje — karmiłam cię krwią, wyciśniętą z każdego dnia. Napracowałam się dość, nie żałowałam na naukę, aby ci lepiej było na świecie.

Wyrosło dzieciństwo z nędzy, niedostatkiem, płaczem, przekleństwem pokryło lata jak brukiem, po którym przetaczały się twarde prawa życia. Teraz przypominała sobie. Pamięcią wzruszoną szła po gościńcach ciernistych, zbierała kamienie, oglądała je i ściskała w rękach, jak świętości.

— Pan Jezus zlitował się, wejrzał na moją biedę miłosiernemi oczami.

Drogą wybrukowaną głazami czarnych godzin, wypłakanych w udręce doszła do celu.

— Jutro! —

Nie wymawiała Adasiowi swojemu, co przecierpiała. Wiedziała przecież, że dziecko w niemowlęctwie pierś ssie, potem zaś przez całe życie serce matki. Krew jak mleko.

O jedno tylko modliła się, aby wszystkie boleści i cierpienia dla jedynaka szczęściem zapłonęły.

Nieraz dumała nad sobą. Widziała niezgłębiony odmęt, rzekę bez dna, wypływającą ze źródła poświęceń i ofiary, a na wzburzonych wodach stateczek święty, objęty płomieniami miłości, wiozący dary. Między jednym pulsem a drugim jakby na niezachwianych słupach matka buduje most z przeżytych chwil, po którym dziecko ma przejść. Czy ty syneczku jedyny przez chwilę tak krótką, jak westchnienie ulgi, pomyślałeś o matce, o jej mordędze, udrękach. Czyś ty synu poznał czarne noce trosk, czyś zgłębił otchłanie dni, wśród których szalały burze i rozbijały jękiem biedne piersi. Tybyś nie udźwignął trudu, wysiłków, bohaterskiej męki, jakie los kładzie na barki matki, pochylonej wiekiem. Każda godzina rzucała odłamy ciężkie, wyrąbane z mroków, ale one zmieniały się w bryły słoneczne, w uśmieszek cudotwórczego słowa:

— Mamo! —

Synowską miłością nie obejmiesz cierpień, nie przemierzysz wysiłków, ofiary, nie zliczysz łez, bo musiałbyś tak samo, jak matka miłować, cierpieć, bo musiałbyś w swoich, radujących się życiem, oczach, wypłakane oczy matki umieścić, musiałbyś w piersiach swoich nieszczęśliwe jej serce wśród ran posadzić. Musiałbyś z dna piekła słońce wytoczyć, aby na każdej łzie, na każdej kropli potu promienny wyraz zaświecić. A ty, synu nie masz tyle światła, nie masz tyle sił, aby udźwignąć wszystkie brzemiona, jakie los na jej barki kładzie. I nie obejmiesz nawet największą czułością początku ni kresu cierpienia i ofiary i poświęceń.

Jej małe serce płonie wieczystym ogniem na ofiarniczym stosie, aby na każdą chwilę twoją rzucać łunę — — Synu — — Synusiu.

Tak jej nad uszami śpiewały zadymki, zawieje, przylatujące z przeklętych dróg zimy, kiedy skostniała siedziała przy straganie.

Tak jej śpiewały dni mroźne, kiedy na szybach ócz przędły się spojrzenia, uśmiechy, wśród których sopli — — stężałych, złociły się promienie — dla dziecka. —

Tak jej śpiewały skwary letnie, oblewając ją ogniem spiekoty, spływającej ze spalonego oblicza nieba.

Tak jej śpiewały szarugi jesienne, chluszcząc w jej źrenice zimne strugi i tnąc ciało batami deszczu.

Znał ją każdy wiatr, każda burza, każdy upalny dzień. Żaden z nich nie ominął jej. Ale zawsze jak obłok po błękitnem niebie, płynęła prośba i rzucała cień na ugor jej duszy.

— Pan Jezus pocieszył. Nie żałował swoich darów. Wszystkie dni przeszłe i przyszłe rozświecił. I w tej świętej jasności przeliczy ostatnie lata niby ziarna najcudowniejszego różańca, szepcąc jedno słowo, zlane łaską bożą.

— Synuś. —

— A co to kuma taka dzisiaj — z okna pobliskiej kamienicy wychyliła się znajoma.

— Dziękuję za powitanie. Jak co dzień! — a w słowach wyprysły promienie.

— Ej gdzie tam. Serce jak w niedzielę. Chyba pani kuma dzisiaj słonko w sobie nosi i w oczach każdemu świeci.

— Boska odmiana pani kumo. —

— A co takiego? Podzielcie się radością — przełamcie się chlebem. Ja też głodna.

— Chodź no pani na dół. Coś pani opowiem, ino odważę. — Już pochyliła się ku kupującej.

— Kilo jabłek nasypie mi pani do tej torby.

— Których paniusiu? —

— O tych. Tamte obite.

— Wybieram co najładniejsze. Gdzieżbym lichy towar dała i to w takie święto.

— O te — — o te — — kupująca wskazywała palcem.

— Dobrze paniusiu. O, śliczności jabłka. Wszystkie wybierane, na wystawę — zawinęła i oddała.

— No cóż mi pani kuma powie? Z czego takie wesele?

— To pani kuma nie wie? — — i filuternie mrugnęła powieką.

— Nie wiem. Czy jaki chłop się trafia pani kumie z funduszem i kamienicą? — to będziemy hulać — zaśmiała się grzecznie i statecznie.

— E! — ofuknęła ją. — Z pani kumy bezwstydnica, żeby tak grzeszyć gębą. — Nie o chłopach myślę na starość — otrząsnęła się.

— Taka ta starość jak róża. — —

— To ja nic nie powiedziałam? Myślałam, że wszyscy widzą jak na niebie gwiazdy — oparła ręce na biodrach, pochyliła się i buchnęła radością. — Jutro Adaś — — Jezusie — już się

skończy moja męka. Weźmie mię do siebie. Będę mu gospodarzyła. — — —

Dalej sypały się słowa pełne radości jakby ktoś silnem ramieniem zatrząsł drzewo serca, i pospadały najdorodniejsze owoce na murawę blasku, aby każdy mógł skosztować i pożywić się ich słodyczą.

Zbliżało się południe. Coraz więcej ludzi stawało przed straganem. Jedni gruszek żądali, inni śliwek. Wybierali, krzywili się, jak to zwyczajnie, a ją aż złość podrywała. Niejeden to pochwalił, a inny to, aby dogryźć i cierniem pokłuć. Co chwilę przelatywały dźwięki pieniędzy i strzępy rozmów.

— Może słodkie?

— Gdzieżby na kompot słodkie. Kwaskowate. Sama wiem, że słodkie do niczego. Spróbuj pani. To nie jabłka! — To marcypany — to raj.

— A ile te jabłka?

— 40 groszy.

— 20 wystarczy.

— Chyba se pani ze mnie drwinki robi. Za 20 to same wybiórki ognite. Ale nie za taki towar. Co też pani mówi.

— No to 25 groszy.

— Już mię pani zezłościła. Może jeszcze odnieść za panią na Krzemionki i w rękę pocałować — sapała gniewnie — Nakręci w głowie, natrajkocze, odyma się po pańsku nad człowiekiem, a potem za drogo jej. Zadarmo by wzięła.

Nowa osoba przechodziła, więc chmurny wyraz twarzy straganiarka w mig rozpędziła i już pogodna uśmiechem powitała.

— Paniusiu — ładne, wybierane jabłka, śliwki dzisiaj rano z drzewa rwane. Tanio, za pół darmo, żeby handel szedł. Te 40 groszy, tamte 60, a jeszcze tamte 55. — O, śliczne, rumiane, jakby z nieba czerwonego pospadały.

— Drogie!

— Drogie? — niby zdumiona i przerażona niewinnem oskarżeniem. — U mnie? Jak mi kto powie drogie to już z taką osobą nie mówię. Takie jabłka — siadła obrażona, wzdęta furgotającemi z gniewu spodnicami. Wsadziła rękę do kieszeni i przesypała dźwięczące pieniądze.

Zaraz udobruchała się. Prędka była w gniewie, ledwo chlustła złość i już wykipiała jak zwykle na wielkim ogniu. Spłynęły mroki i znów świetlisty słup wesela.

— Jutro! — —

Zbliżał się do straganu oberwaniec. Śledził ją, widocznie chciał ukraść. Stanął obok i z chciwością się przypatrywał. Oczy jego skakały po owocach. I każde jabłko drżało, obijane spojrzeniami i oblewane ognistą rosą pragnień. Jego serce głodnym wzrokiem rabowało obraz darów. Wybrała wielką, czerwoną kulę.

Jakby rumieniec i woń z jabłka spłynęła.

— Naści.

I zaraz uśmiech wspomnienia, sok wysączył się z duszy i oblepił słodyczą wargi.

— Adaś był taki sam.

Chłopak zdziwiony patrzał podejrzliwie, a nuż go chce przywabić, a kiedy się zbliży, to ona ćwieknie go kijem, takiej babie lepiej nie dowierzać.

— Nie wstydź się, weź. Niech ci na zdrowie wyjdzie.

— Nie spierzecie mnie?

— Za co! —

Skoczył, chwycił. W oczach blask radości, jakby w nich odbiło się spłonienie, zostawione przez letnie słońce. Pognał w zaułek.

Wnet zaklaskały gołębie, dając głośno znać, że przyleciały. Trzepocący gościniec lotów i furgotów, kłapań spłynął z wieży pobliskiego kościoła. Gromady gwarne zaroiły się na bruku. Wśród okrążań, nadymań, zagruchały, jakby ziarna różańca, nawleczone na nić, nigdy niekończącą się, rozrzucały po kamieniach i deptały koralowemi nóżkami. Na ich widok, jejmość straganiarka sięgnęła do kryjówki i do podołka nabrała kilka garści kukurudzy.

—Pamiętałam o was, miejcie i wy uciechę. — Sypała złote grudki.

— Niechaj każdy dzisiaj pożywi się moją radością.

Wnet gołębie odleciały. Wzbiły się w powietrze i na wieżach niebios zawiesiły furgotające chorągiewki.

Przy straganach spokój. Gwar i hałas zapadł się. Została sama. Już jej nikt nie przerywał radości. Teraz każda przemijająca chwila najcudowniejszemi wyrazami mówiła o szczęśliwej nowinie. Uczucia spływały jak złote liście z drzew słonecznych. Niebo jaśniej błękitniało, radując się jutrzejszą uroczystością. Wszystkie promienie jakie kiedykolwiek świeciły na świecie przybiegały, aby rozpłomienić serce. Ono wisiało w gwiezdnych przestworzach jak rumiane jabłko, zerwane z Bożego sadu, oblane zorzą, a w słodkim miąższu, kryjące życiodajne ziarna, zwiastujące kwietną wiosnę.

— Jutro! Jutro!

To czarujące, błogosławieństwami poświęcone słowo, niby wielobarwna tęcza rozpinała się nad całem życiem. Światła, idące z serca, odrywały się w uśmiechach i wszechświat rozjaśniały szczęśliwością matki.

II.

Była pewna, że wieczorem Adaś przyjdzie i razem omówią szczegóły jutrzejszego dnia.

Syn mieszkał osobno. Wolałaby mieć go przy sobie, ale wynajęła mu pokój, aby mógł się uczyć bez przeszkód.

Do późna w noc przygotowywała strój na tak ważną uroczystość. Rozłożona suknia leżała na łóżku, niby jedwabna karta dostojnej i świetnej przeszłości mieszczańskiego rodu. Prasowała koszulę, ozdobioną szerokim kołnierzem, haftowanym i dzierganym ząbkami. Wdziewała ją tylko w niezmiernie ważne dnie roku, na

Boże Ciało i na Wielkanoc. Z żelazka czad bił i ciężko, zmordowaną ręką wodziła po zakładkach, fałdach, falbanach, nadając im świąteczny blask.

Nadsłuchiwała, czy w sieni nie odezwą się kroki. Zrywała się na każdy odgłos i biegła do drzwi. Ale to tylko wiatr dobijał się i noc wdzierała się do izby, gasząc jej nadzieję.

— Jutro przyjdzie. Zawiedzie mnie, na pierwszem miejscu posadzi, a wszyscy się będą pytali, a kto to, a kto to ta jejmość. — — Matka Adasia —, dochtora. — Słyszała szept, szmer, głaszczący jej dumę. Prostowała się, głowę podnosiła: Ja matka dochtora.

I widziała siebie, idącą w dostojnym stroju, a obok niej syn.

— Pewnie się biedaczysko uczy. Nigdy nie ma czasu. Wiecznie robota. Ślęczy nad książkami, że też oczy go nie zabolą? Od tego schylania to krzyż pęka. Gdzieby miał czas. Ani chwili nie zmarnuje. — Znalazła usprawiedliwienie. Niepokój omotała słonecznemi nićmi jek zwykle matka, która nawet z cierni synowskich zbiera kwiaty.

Nie pokazał się wieczorem.

Siadła na stołku i zasnęła. Miała widzenie. Po schodach obłoków wśród śpiewań zbiegał anioł i znosił w rękach płat słońca, aby nim łzy całego życia otarła. Poznała twarz. — Adaś!

Do izby wszedł ranek uśmiechnięty, radosny i napełnił wszystkie kąty jasnością.

Jejmość straganiarka zerwała się.

— Zaspałam.

Pokręciła się koło swego gospodarstwa. Wyjrzała przez okno, spozierając tęsknie po chodniku pustym.

— Może Adaś! — zaraz jednak skarciła się — gdzieby tak rano. Niechże się wyśpi. Też ja matka, żeby zmordowane dziecko budzić. Ani nawet nie odpoczęłoby. Zaraz zrywać się na nogi? Poco?

Wybiegla do swego kramu tą samą drogą, którą co dnia przebywała. Ani jej poznać. Żwawo szła, ledwo dotykając lekkiemi stopami bruku. Wszystkie lata otrząsnęła z siebie.

Sprzęt poskładany stał. Kosze i paczki pozamykane na półkach zielonego stołu. Rozpięła parasol i okryła cieniem pustą stolnicę. I znów spiętrzyły się piramidy. Jabłka zakwitły rumieńcami niby róże w muszlach złotych. Gruszki wyprażone w spiekocie lata i oblane strugami świetlistego potu. Śliwki z błękitów pospadane. Słoneczne kule uśmiechały się urodą do przechodniów i przynęcały oczy.

Straganiarka krzątała się ochoczo, nucąc pieśń chwalącą Boga wszystkiem blaskiem miłości, wszystkiemi kwiatami wiosny. Rozsypywała wyrazy przewiane wonią najpiękniejszych owoców zerwanych z raju.

— Ze trzy godziny posiedzę — postanawiała. — Jakże by to było. Ino — ino nie widać tej pani w kapelusiku odwiecznym. U kogo innego nie kupi tylko u pani Marcinkowej. Funcik jabłek — świergotał jej głos — co dnia o godzinie 9 rano. Toby dzisiaj nie jadła, gdyby mnie nie było? Dobra paniusia. A inni na kompot, na strudel, na knedle. Bez obiadu ich zostawiać? Grzech. Oni grzecznie z nią pogwarzą, o Adasia zapytają i serce matki uradują. Dobre ludziska. Utarguje też jaki taki grosz. Potem zastąpi ją krewna. Porządna dziewczyna, niczego nie tknie.

Przeleciał chłopak.

— Jasiek — ne jabłko — powiedz Józi, żeby przyszła, przypilnuje kramu, bo ja koło południa pójdę.

Andrus z gwizdem pognał. W powietrzu migały bose stopy.

Zjawił się Adaś wyświeżony, uroczysty, sztywny. W oczach wszystkich urodą zaświecił. Ze straganów sąsiednich przybiegły spojrzenia i na ich skrzyżowaniu rozżarzyły się słowa.

— Z takiego dziecka pociecha.

Adaś — dziwnie zarumieniony, oglądając się na boki, jakby przelękniony i niespokojny, pochylił się nad matką.

— Mamo jeszcze mi zabrakło. Tyle wydatków.

— Ile ci dać? — odrazu zgadła.

— Jak najwięcej — zażartował.

— Dobrze dziecko. Wiem, trzeba. Ty grosza daremnie nie przemarnisz. Com zbierała to dla ciebie — sięgnęła w zanadrze i wydobyła wielki pugilares. Zanurzyła rękę we wnętrzu. Zadygotały ścianki skórzane, jakby niemi wstrząsnął szloch i okapał ciszę łzami dźwięków. Długo nie mogła uporać się z pieniądzmi. Patrzała proszalnie. Modliła się, aby pierwszy przemówił — Niechże mama da — czasu nie mam.

Te słowa, jakby ktoś pięścią zdzielił przez oczy i posypały się świetliste grudki w mrok.

Ukradkiem obejrzał się i pieniądze zgarnął. Bez pożegnania spiesznie odchodził.

— Ad... — już miała krzyknąć. Słowo rozprysło się uderzone ciosem serca.

Coś sobie przypomniał. Z rogu zawrócił.

— Acha mamo, może mi jeszcze zabraknie.

— Dam... — wyziębłe słowo odtrącone spadło.

— Ja tu jeszcze zajrzę przed południem.

— Wiesz Adasiu — bo — ale znów nie mogła prośby wypowiedzieć, że pragnie pójść i na swoje szczęście spojrzeć. Tyle lat czekała na taką godzinę. On pierwszy powinien jej powiedzieć i z pod straganu powieść matkę. Ani jednem słowem nie wspomniał. Czekała. Prosiła.

Na chwilę dusza pociemniała. Zaraz nadzieją się rozpłomieniła.

— Przyjdzie po mnie. Jeszcze czas do południa.

Mimo pocieszań wszystko wokoło niej pokrywało się mrokiem.

Chwystała słowa, jak złote nici, aby na nich wyrwać się z czarnej przepaści zgnębienia.

— Jeszcze przyjdzie.

Mała nadzieja zawisła na tem wątłem oparciu. Ale złota nić rwała się pod ciężarem przeczuć złowrogich.

— Może się wstydzi matki.

Jednakże zaraz nowe pociechy i nadzieje przędło serce, niezmordowany pająk miłości, wysnuwający promienie i blaski z najciemniejszych mroków udręki.

— Zresztą cóż to? muszę być! Ino strata czasu. Lepiej straganu pilnować. Z tego chleb, a nie widowiska robić. Cóż to tyater? Strata ino czasu. Dobre dziecko i oszczędne wie co trzeba. Szkoda i kilku groszy. Tam panowie. A ja co? Gałganiarka. Sama siebie musiałabym się wstydzić. Hańbę synowi przynosić?

Mimo to coraz tęskniej spozierała na ulice, z której zwykle wychodził. Zapalała się nadzieja jak świetliste westchnienie i gasła zatłuczona bryłami, staczającemi się ze słonecznego zegara, bijącego czarne godziny.

Co chwilę patrzała na niebo. I jakby w gruzy rozpadło się sklepienie i najcięższy głaz uderzył ją w serce.

— Południe! — a jego niema.

Żadna siła nie zdołałaby ją zatrzymać.

— Co mi zarobek w takie święto. Józia przypilnuje. Stanę se w kącie i temi oczami głodnemi spojrzę na radość mojego życia. Już do grobu zaniesę to wesele.

Pędziła ku domowi. Strój odświętny miała przygotowany. Wdziała na siebie chrzęst, szum i sztywność staroświeckich jedwabiów, rozdymających się bogactwem i dostojnością dumy prababek. Biały konierz wykrochmalonej koszuli legł szerokim pasem na kaftaniku. W uszy wpięła kolczyki 'stroświeckie, obciążone wspomnieniami bogatego rodu. Na szyji powiesiła kilka sznurów wielkich korali. Z pudełka wyjęła złoty krzyżyk. Zanim włożyła pokornie pocałowała drogie wspomnienie. I w tym pocałunku rozżarzył się obraz. W dniu kiedy Adaś urodził się, nieboszczyk mąż kupił pamiątkę, święty podarunek, aby jasnością swoją życie rozświecał od kolebki do grobu.

Jejmość pani 'straganiarka szła teraz ulicą w słońcu, świąteczna, bijąca swem szczęściem, jakby niosła promieniste światy. Na wargach jaśniał uśmiech. Zdawało się, że to lśnienie złotego krzyżyka rzuca silną łunę i twarz rozświetla dumą i weselem. Jedwab chrzęścił sztywnemi fałdami połysków. Krzyżyk kołysany lekkim szeptem bijących pulsów, jednako żarzył się na rozgorzałem ognisku — cudownej myśli.

— Adaś się ucieszy, kiedy mnie zobaczy. Sam mówił, że przyjdzie. Może czeka na mnie, może lada chwila wyjdzie. Nie widać go. Żeby choć jakie nieszczęście nie spotkało go. Przecie przyszedłby. Bo to trudno o nieszczęście?

Spóźniła się. Nie wiedziała o tem. Zapatrzona w swój sen, szeptała radosne wyrazy. Miód wysączał się z plastra chwil i złocił się w świetle nowiny.

— Sprawię mu uciechę.

Stanęła pod ścianą olbrzymiej, przytłaczającej budowli. Nie wiedziała, w którą stronę udać się. Zajrzała w czarną czeluść korytarza. Zimna pustka powiała. Złowieszczy dreszcz targnął duszę i otrząsnął tęczę, która od wczoraj rozpinała nad nią wielobarwny łuk z pasm jej szczęścia uszyty. Oczy weszły w mrok jak w grób i cofnęły się zziębnięte, struchlałe i przerażone. Trwożna myśl zatłukła się w biednych, obitych piersiach.

— Gdzie iść? Gdzie szukać dziecka? Na jakie schody wejść, aby przez krętą ciemność wyprowadziły na błogosławioną dolinę? Do których drzwi zapukać, aby szczęście jej otworzyło i uśmiechem syna powitało.

Tylko serce cichemi pulsami zaszeptało i na wargach zostawiło słowa — grudki złota topione we łzach.

Na palcach zeszła. Oparła czoło na kratach i przez żelazne desenie przewiesiła spojrzenia jak łachmany, zmoczone płaczem nocy bezsennych. Czekała cierpliwie, modląc się jak żebraczka, o jałmużnę syna, o grosik miłości z kalety, która klejnotami wypełniła.

Minuty staczały się powoli, odrywane i otrącane ciosami wzburzonej i bijącej niecierpliwie krwi. Co jedna runęła, to już druga biegła, uderzały o siebie i zatłukiwały nadzieję. Z pośród ich łoskotu wybłyskiwały promienie próśb, niby lśnienia, strącane z kropel łez i potu. Zaraz ginęły w topielach zgnębienia.

— Już nie wyjdzie po mnie.

Z załomu 'schodów wyszedł. Ze stopnia na stopień, coraz niżej i bliżej. Nareszcie ujrzała go. Wszystkie mroki rozjaśniły się, jakby z czarnych czeluści słońce ukazało się. Niemy krzyk oczu i ust. —

Synuś schodził z góry.

Minął ją spiesznie. Szedł szczęśliwy, roześmiany przy boku kobiety. Zapatrzeni w siebie, przytuleni, wymieniali i mieszali słowa gorące, spojrzenia, wyznania miłosne i tajne pocałunki.

Marcinowa rzuciła się za nim.

— Adamku! — — Adamku! — — oczami błagalnemi czepiała się, wołała, ścieląc prośby rozpaczliwe pod stopy najdroższego dziecka.

Zobaczył ją. Znieruchomiał. Spieczony rumieniec oblał twarz. Na jedno mgnienie zatrzymał wzrok, ale i ten błysk czasu wystarczył, aby w serce jej wbić nóż twardego, bezlitosnego spojrzenia, które po tysiąc razy zaparło się matki i po tysiąc razy przeklęło ją.

Zastukały jej zęby i o krawędź najboleśniejszego wyrazu uderzyły.

Odwrócił się do towarzyszki, bojąc się stracić czarujących chwil. Z uśmiechem tęsknoty i miłości minął nieszczęście, jęk i krzywdę mordecznego życia, które źrenicami wszystkich dni załkało.

Milczała, wepchnięta w ciemny kąt, wmurowana w ścianę, na której oparła się odtrącona zaprzańczym wzrokiem najukochańszego dzie-

cka. Nie mogła ruszyć się z miejsca. Nie miała sił podnieść ani rąk, ani nóg. Tylko oczy dźwignęły się z nad trumny serca, powlokły się za synem po męczeńskiej drodze, padały pod obcasy i słaniając. wróciły na Golgotę jej cierpienia, gdzie sterczał wbity krzyż wspomnienia.

Serce i oczy miała podeptane po ostatnie pulsy, po ostatnie spojrzenia.

Krótka chwila morderczego ciosu była stokroć straszliwsza i okrutniejsza, niż lata nędzy, bezgranicznych męczarni.

— Doczekałam się pociechy — zachwiały się słowa jak skazaniec, rzucony pod mur rozpaczy.

Z nożem spojrzenia synowskiego, tkwiącym w piersiach, szła samotna i opuszczona, ulicami jak cmentarną drogą do grobu, w którym szczęście zakopała.

— Syn się wstydzi! Syn się zaparł! Pracy mojej nie wstydził się, potu mego nie wstydził się, ale brał obu rękami na uciechę. Teraz inna kobieta. Wzgardził matką straganiarką.

Upadała, potykała się, idąc w pustkę nigdy nie kończącą się. Piekła i bolała rana wspomnienia. Już jej nigdy nie zasłoni uśmieszek dziecka, mający promienie gwiazd wszechświatów. W opuszczeniu krwawić się będzie do ostatniego tchnienia życia.

— Teraz jestem wdowa po dziecku — wypowiedziała wyrazy z największym bólem wyłkane.

Duszą nie mogła objąć czarnych przestrzeni, które nagle przed nią rozpostarły się. Wiedziała tylko to, że one opierają się na krawędzi grobu. A kolumn niezłomnych żadna moc nie zdruzgoce. Mógłby zburzyć je jeden puls miłującego serca, które nigdy nie zaprze się... A takiego ona nieszczęśliwa nie ma na świecie.

To kara za grzech, żem dziecku życie zaprzedała. Grzeszyłam dla niego. — — — —

Z zimowych ulic pracy, z zadumek, przyleciały zmarznięte, strudzone dni robocze; pochyliły się nad zrozpaczoną i zajękły skargą godzin znoju, udręk, niedostatku.

— Opuści cię dziecko, gdy byle przechodzień kiwnie palcem i przywabi złudnym uśmiechem. Jedno spojrzenie zasłoni drogę krzyżową cierpienia matki. Odejdzie, zaprze się po wszystkie dni. Zapomni o nocach bezsennych, które życie twoje czarną chustą przykryło. Ominął twoje oczy wybladłe, zmordowane, wypłakane. Wszystkie spojrzenia jemu dałaś, abyś oślepłemi oczami patrzała na swoje nieszczęście w tej godzinie straszliwej.

Dni robocze, dni mordęgi, użalały się, jakby nad nieszczęśliwą pochyliły się niebiosa zapłakane i razem z matką szlochały.

Krzyżyk złoty, pamiątka po mężu wisiał na piersiach, krył się w czarnych fałdach kaftanika, gwałtownie odtrącany wypływał na piachy chrzęszczącego jedwabiu. Świecił umarłym, jakby gromnicznym blaskiem i okopciały, smutkiem okapany, rzucał cień na twarz, spoczywającą na marach.

Pokrwawiona płaczem nieszczęsnej godziny, powlokła się do swego kramu. Siadła przy straganie wśród wonnych owoców. w zorzy ich uśmiechów. Śliwy jednako błękitniały, grusze tem samem złotem żarzyły się, a jabłka zakwitały dalej rumieńcami, które lato zostawiło.

Dostojna, poważna, świąteczna jejmość straganiarka siedziała w szeleście jedwabiów, w stukocie korali, nawleczonych wielkiemi kroplami na ciernisty wieniec. Twarz ogorzała, pofałdowana, podobna do szarej renety na wiosnę, była teraz bardziej pomarszczona i jakby krepą okryta. Plecy pochylone, dźwigające piorun, który w nią przed godziną uderzył. Machinalnie, obcą mocą podnosiła ręce, ważyła, zawijała. Tylko do każdego owocu drżące palce przyrastały i dźwigała je, jakby kamienie.

Znów z okna wychyliła się znajoma mieszczka.

— Pani kumo! Pani kumo, to ani nie przebierzecie się. Czyście z procesji przyszli. Przecie to nie święto. Chyba do ślubu pójdziecie — zażartowała.

— Przyszłam, ale z pogrzebu.

— Cóż to kumcia wygaduje ni w pięć ni w dziewięć. Jeszcze na wesele wybieram się, nie na pogrzeb.

— Ja już po pogrzebie swoim.

— Hi! hi — — podparła się sąsiadka przysadzista i parskała śmiechem. — O Jezusie, aleście dzisiaj figliwno. Jeszcze wom zatańcuję i zaśpiewam o chmielu, aż się w niebie będzie rozlegało.

— Nie zaśpiewacie — ale zapłaczecie. — Widzieliście kiedy, jak jabłoń w słońcu kwitnie. Cudo i uciecha w czerwonych ogniach, co rano zleciały z nieba. Wiater zły przyjdzie, potrząśnie i wszystkie kwiatki pospadają. Zostanie nagie drzewo. Ja wdowa po dziecku, nagie drzewo, co je mój płacz owija.

Tyle się poskarżyła przed przyjaciółką. Zamilkła. Już nikomu więcej nie powiedziała o krzywdzie. Sprzedawała jabłka, gruszki, jakby owoce z cmentarnego drzewa. Trupi zapach swego szczęścia czuła.

Dni przyszłe w całunach i kirach nadchodziły i szeptały.

— Życie twoje biedne i nieszczęśliwe leżeć będzie na marach. Nie przyjdą święte uczucia, nie podniosą litościwemi rękami ku słońcu, usta nie wyrzekną słowa i ran nie namaszczą świętemi olejami pocałunków synowskiej miłości.

Siedziała zgarbiona pod brzemieniem nieszczęścia. Ani strącić, ani dźwignąć nie mogła ciężaru, widząc Golgotę życia bez syna. Chwile jak kamienie spadały. I była ukamienowana na ciele i na duszy.

Ból nie mający granic zatargał piersiami. Załkała.

— To kara boża za grzech miłości, za to, żem oszukała dla ciebie.

Jękiem i płaczem wyszeptała modlitwę o ulgę, o przebaczenie.

Jakiemi łzami zmyć, jakim ogniem można wypalić karę za winę: obraz syna, zapierającego się.

Niema takich łez, niema takiego ognia.

W pewnej chwili wynurzył się błękit, rozprzestrzeniał się coraz bardziej, stawał się nieogarniony, jak miłosierdzie boże.

I wtedy na wargach zbielałych zadrgały ciche słowa:

— Bogu ofiaruję moje cierpienie — — pokuta za grzech. Do końca życia będę pokutowała — — aby wybłagać, wyprosić. — — — A tobie synu — — — niechże ci się — — niechże ci się — dobrze wiedzie na tej ziemi. —

Łuk przebaczenia, wspierany na miłości i ofierze matki przepasał czarną noc nadchodzących dni.

Z załomów murów wypłynęło słońce i padło na jejmość straganiarkę. W jego świetle rozbłysł krzyżyk złoty, zwisający na sznurku korali, jakby do strumyka krwi przyczepiony. Ginął w małych mogiłach fałd kaftanika i znów wynurzał się jasny, promieniejący, zasypany pocałunkami niebios. Wciąż wzdrygał się, coś go odtrącało brutalnie, może słowa skargi, może myśli, zasiekane rózgami spojrzeń synowskiego pożegnania.

To serce weń biło okrutnemi łoskotami, jakby pulsami bólu i cierpienia, chciało ukamienować i potłuc symbol ofiary i męczeństwa, świętość najdroższą pamiątkę po mężu, na której straszliwy dzień, radość całego życia rozpiął i gwoździami synowskich oczu przybijał.

Nikt nie widział, nikt nie słyszał.

Jeno krzyż czuł ciosy serca matczynego.

— — — — — — — — — — —

JAN MACEK.

Za brać najdroższą...

Pochodził z dalekich stron huculskich, tam, gdzie Czeremosz szumi smętne dumki, tam gdzie na Połoninach góral brzęczy na drumli, wsłuchując się w jej dźwięki, zmieszane z szumem dolatujących chrzęstów świerkowych. — Gdzie niebo lazurowe, gdzie szczęście, prawda i miłość. On rozumiał przyrodę swoich stron ojczystych, a nie znał, co to fałsz, obłuda. Ludzi oceniał według słów, posłyszanych na kazaniu w kościele; dusza jego rwała się do rzeczy świętych i wzniosłych, do czynów, kojących ból i tęsknotę.

Takiego go znałem w jego młodości; takim pozostał aż do końca.

Zaimponowała mu cywilizacja, więc postanowił powędrować do miasta, do Przemkowa i tu szukać szczęścia. Zdobywał to szczęście w głodzie, w chłodzie, w troskach codziennych o chleb powszedni, w bezsennych nocach, spędzonych nad książką...

Nie było to łatwo. W dzień pracował, jako woźny w biurze, w nocy zaś oświecał swój umysł. Książki kupował za pieniądz ciężko zapracowany, kształcił się bez żadnej pomocy, aż wkońcu zdał gimnazjalny egzamin.

Im więcej się uczył i poznawał tajniki życia i świata, tem bardziej tęsknił za pracą dla dobra bliźnich, dla ojczyzny.

On pragnął jednego, ludzie — drugiego: pieniądza... On cierpiał za miljony i samego siebie, inni pogardzali wszystkiem, a troszczyli się tylko o siebie.

Byle tylko kieszeń, byle tylko brzuch, byle tylko dalej i dalej, bliżej złotego cielca, byle tylko uchwycić więcej mamony, której przecież i tak nie zabiorą do grobu...

Dusza w nim łkała!...

Po zdaniu egzaminu otrzymał posadę w biurze komisowo-handlowem. Przynosiła mu 180 złotych miesięcznie, ale życie było jeszcze twarde. Miał przy sobie starych rodziców, na których utrzymanie musiał łożyć. Oprócz tego miał mniejsze i większe wydatki na cele społeczne, dobroczynne. Nie było takiej organizacji, do którejby nie należał. Był wszędzie i płacił punktualnie, wiedział bowiem, że jeśli płaci, to dla ogólnego dobra, dla braci ciemnych i biednych, tonących w bagnie opilstwa i nędzy moralnej.

Miasto było żydowskie, pełne brudu, niechlujstwa i karczem, tych nor zbrodniczych, skąd ludzie wychodzą, wypłukani z ostatniego grosza, na dobro zbrodniarzy, wyzutych ze czci i bojaźni Bożej... Oni to są szerzycielami zła, ci... co się skarżą zagranicą na „ucisk“, oni... ci bezwstydni, co śmią mówić, że budują Polskę... co trują nasze społeczeństwo nienawiścią, wódką, nierządem, byle pieniądz zebrać... Oni... żydzi, ten naród niegdyś wybrany!...

Zdradzę im jego nazwisko. Niech wiedzą! Nazywał się Jan Pandalski, ekspedjent biura handlowego przy ulicy Kolejowej Nr. 12, tuż obok dworca.

Teraz już mścić się na nim nie mogą, więc niech wiedzą, jaka skarga bólu i żalu szczerego spadła na ich głowy, na pokolenia ich braci i sióstr...

Jan Pandalski na wszystko patrzał krytycznie, a poznawszy źródło zła, rozpoczął agitację w mieście przeciw opilstwu, przeciw uczęszczaniu do karczem żydowskich, przeciw wszystkim przeszkodom, tamującym drogę do szczęścia. Nie było takiej nory, gdzieby się nie zjawił dla kontroli. Wszystkich pijaków notował sobie, aby ich później leczyć. Zwoływał wiece, na których zapadały protesty przeciw karczmom, rafinerjom, przeciw pijawkom krwi naszej... Karczmy upadały, ale i żydzi nie spali.

Zmobilizowali się wszyscy, jak jeden mąż. (O Boże, dlaczego między nami niema tej jedności!). Złączyli się ku obronie swoich „słusznych praw", ku pozbyciu się tego „przeklętego goja", wroga wolności i żydów, aż wkońcu rzucił rabin klątwę, czyli „cherem" na Pandulskiego.

Od tego czasu rozpoczęła się walka na śmierć i życie.

Raz, gdy będąc w karczmie Brunholtza, upominał swoich rodaków, aby uważali na swoje dobro, dzieci i żony, wstał z krzesła karczmarz, wyszedł z za lady, a podchodząc do niego, zaczął mu szeptać do ucha:

— Pan z tą hołotą?!... Oni muszą pić... i zapominać o świecie... Im tak dobrze, a nam razem z nimi... Wódka nigdy nie truje... A czy ja ich wołam? Czy co? Sami przychodzą... Państwo się bogaci... I pan uczony, a nie rozumie tego? Dziwię się bardzo!

— Ja wiem, co robię — odrzekł Pandalski. — A gdy ich żony i dzieci pójdą pod płot, to im pomoże?

— To mrzonki! — ciągnął dalej karczmarz. — Panu może być lepiej z nami, niż z temi zbirami. — A wyciągając z kieszeni plik stozłotówek, dodał: — To Bóg! To daje szczęście. więcej nic! Ja w żadne religijne mrzonki nie wierzę!... (autentyczne). Weź pan!

Pandalski rzucił się z gniewem:

— Na tych pieniądzach ciążą łzy ludzkie! Wasz Bóg!... O Boże Wielki! To bluźnierstwo! — i wyszedł z tego „kościoła" mamony.

— — — — — — — — —

Pewnej niedzieli był wielki ruch w Przemkowie. — Co począć z gojem? — radzili żydzi. — na to potrzeba pieniędzy; pieniądzmi zrobi się wszystko. Musimy go powalić, podeptać, zniszczyć! Auf unsere Munes, man muss diesen Goj...

Więc zbiórka pieniężna! Dał Srul, Moszek, Chaim i inni, aż zebrali kilkadziesiąt tysięcy złotych. Teraz do właściciela biura komisowo-handlowego, p. Gwizdalskiego! Jeśli tam się nic nie da zrobić, to chyba Liga Narodów.

Rabi Reicher udaje się z delegacją do szefa. Któż inny mógłby pójść na czele, jeśli nie on? Rabi zna doskonale talmud, różne księgi uczone; on potrafi załatwić „według mądrości bożej", fain, git a rich auf die Gojen!

Zapukali do drzwi p. Gwizdalskiego. Pokojówka otworzyła.

— Jest jaśnie wielmożny w domu? — spytał rudy żyd, z pogardliwym naciskiem wymawiając szumne słowa.

— Jest. —

— Ny, dobrze się składa. — domówił rabin. — Można wejść?

— Zapytam się — odrzekła pokojówka.

Właściciel był niezadowolony tem najściem „towarzystwa", jak nazywał żydów, jednak, odesławszy ich kilka razy do „wszystkich djabłów", kazał ich zawołać.

— Dzień dobry jaśnie wielmożnemu panu! — kłaniali się żydzi.

— Dzień dobry! —

Rabina znał dobrze. Drugim był Srul Icekbaum, właściciel rafinerji spirytusu i hurtowni wódek; wreszcie rudy polityk „postępowy", przechrzta, Ignacy Kaczkowski, który udawał wielkiego Polaka.

— My prziśli do jasnego pana — przemówił rabin — z prośbą o wielką poradę. Pan na tej sprawie traci i my. Pan napewno ma mały zysk; my wiemy o tem i wiemy dlaczego, bo pański pisarz, zamiast pilnować interesu, chodzi z chamami i bałamuci. Poco mu tego? Poco on bałamuci? Poco krzywdzi biednych żydków?... My do jaśnie wielmożnego pana, jak do ojca!... My damy sto tysięcy, tylko niech go pan odprawi...

— Jak odprawić?... Za co? — porwał się z gniewem Gwizdalski. — Pilny, punktualny, dobrze pracuje. — A co robi po ośmiu godzinach pracy — to mnie nic nie obchodzi. —

— Jakto nic? A interes? — A szczęście pańskie — to nic?! — kusił dalej rabin.

— My damy dwieście, tylko niech pan go odprawi. —

— No, no — namyślał się pan Gwizdalski, a w oczach jego zaczęły igrać błyski. Szatańska chciwość, która nie zna sumienia, ani litości nad nędzą ludzką.

Worek judaszów zrobił swoje: przysłonił gehennę biednych istot, braci swoich, rodaków, wyrzuconych na śmietnisko żydowskie, byle ich kosztem zdobyć więcej rozkoszy życia, tych baniek mydlanych, które pryskają, nie zostawiając po sobie żadnych korzyści.

Zdradził Judasz Chrystusa!... poszedł nasz rodak, pan Gwizdalski pod pantofel chasydów.

— Nie bierz! To łzy, to krew! — wołało sumienie. On jednak, łotr przeklęty, już gotów był do zdrady.

— Dacie pięćset? — zapytał rabina po namyśle.

— To drogo! Nas biednych żydków, nie stać! targowały się żydowiny.

— Jak nie — to do widzenia! — rzekł Judasz, pewny już naprzód zwycięstwa.

— Nu, nu, damy, ale od jutra musi pójść ten pański pisarz — odrzekł rabin, wyciągając węzełek papierowych pieniędzy.

— Panie Gwizdalski, na Boga w Trójcy jedynego, nie bierz! Panie Gwizdalski, bracie nasz, nie bierz! — perswadowało sumienie.

— Eh, co tam! pomyślał sobie. Dobry interes! Szkoda opuścić! — I wziął.

— — — — — — — — —

Nazajutrz pan Pandalski został pozbawiony pracy.

—Za co? — zapytał pryncypała w osłupieniu, a twarz jego nabiegła krwią. Za co panie szefie? —

— Za zaniedbywanie obowiązków, za szkodzenie mi w interesie przez pańską głupią politykę — rzekł szef.

— Za co? — pytał raz jeszcze Pandalski.

— Już powiedziałem! Proszę wyjść z biura! Oto pensja za miesiąc naprzód! — odrzekł gniewnie pryncypał, wskazując mu drzwi palcem.

— „Ich Bóg" tu działa — westchnął Pandalski i opuścił biuro...

Przyszedł do domu do swoich staruszków. — Jeszcze było za co żyć, a potem możnaby się zwrócić do organizacyj, do których należał... Ale za co, za co wyrzucił go ten bez serca p. Gwizdalski?... Pracował dobrze, jak nikt inny, więc za co?...

To pytanie nie dawało mu spokoju. Jeden dzień, drugi — wychodził do miasta i udawał przed rodzicami, że pracuje.

Pewnego dnia dłużej pozostał w domu, a gdy później znajomi ujrzeli go na ulicy, trzymał przed sobą w ramkę oprawiony, własnoręcznie narysowany banknot stodolarowy... Zebrało się dokoła wiele gawiedzi i nuż się z niego wyśmiewać: p. Pandalski warjat, papierki nosi... cha! cha!

On obojętny szedł dalej, jakby tego wcale nie widział. Zmierzał prosto do rynku.

— Widzicie, żydzi! — począł wołać na wszystkie strony. — To wasz Bóg! Klękajcie przed nim! Wasz Bóg! Cha, cha, cha!... śmiał się teraz na całe gardło. — Bóg, wasz „bóg" przeklęty! Cha! cha, cha!...

Od tego czasu widziano go wszędzie z jego „bogiem". Ale znać było, że jeszcze kogoś szukał, jakby mu chciał tego „boga" pokazać. I szukał, szukał p. Gwizdalskiego.

Raz go złapał na ulicy.

— Panie Gwizdalski, to twój „bóg"! Panie Gwizdalski, bracia giną! To twój „bóg"! Panie Gwizdalski... cha, cha!...

Po tem spotkaniu nikt już go nie zobaczył na ulicy. Już nie miał więcej kogo szukać, ani mu pokazywać swego „boga".

Ale jednocześnie znikł też z widowni i pan Gwizdalski.

Co się z nim stało? O tem można było dowiedzieć się z „Kurjera" pod nagłówkiem:

ZAGADKOWE SAMOBÓJSTWO W PRZEMKOWIE.

Wczoraj Przemków został zelektryzowany samobójstwem właściciela biura komisowo-handlowego, p. Gwizdalskiego. Znaleziono go w kałuży krwi; obok niego leżał rewolwer, kalibru Mausera. Tło samobójstwa nieznane. P. Gwizdalski był zacnym obywatelem, którego opłakuje całe miasto.

Tyle „Kurjer"....

Wielkanoc w Polsce.

(III nagrodą odznaczona praca przy zawodach Dzwonu).

Chrystus zmarwychwstał! ....

Wstał z grobu, promienny białością zaświatów, Zbawiciel ludzkości, a objąwszy swą boską źrenicą, tonącą w brzaskach świtu, bolejącą ziemię, rzucił na nią słowa miłości i przebaczenia.

Alleluja! Chrystus wam, ludzie, zmartwychwstał, poczęły szemrać głębie wodne i prastare lasy.

Alleluja! Zadzwonił czystym głosikiem szary skowroneczek, wznosząc się pod sklepienie niebios.

Radosne drgnienie przeniknęło ziemię, a dusze ludzkie przeszyły wskroś słowa Zbawiciela: „O dzieci moje, jak dla was dałem się na śmierć umęczyć, tak dla was zmartwychwstałem. Radujcie się więc, bo wam przynoszę życie, pokój, radość i moc ducha".

— — — — — — — — — — — —

Przyniósł nam Zbawiciel życie....

Życie nowe i piękne, z Bogiem i dla Boga. Od chwili Zmartwychwstania Chrystusa, ludzie nauczyli się żyć z tym dobrym Pasterzem, radzić się Go we wszystkiem, czerpać z Niego siły i pracować dla Niego. Musieli to już odczuć dwaj uczniowie, z którymi się spotkał Jezus w drodze do Emaus, skoro nie chcieli się z nim rozstać, zrozumiawszy, że On jest drogą, prawdą i żywotem".

Przyniósł nam zmartwychwstały Zbawiciel radość. Radość spokojną, jak nurty potężnej rzeki, płynącą ze sumiennego spełniania swych obowiązków, z łączności z Bogiem.

Przyniósł nam pokój...

„Pokój wam", rzekł bowiem do apostołów, zjawiając się wśród nich po Zmartwychwstaniu. „Pokój daję wam, jakiego świat dać nie może". Pokój ten boski ma każdy człowiek, trzymający się prawideł etyki chrześcijańskiej. Dał nam wreszcie Chrystus moc, i siłę... Mieli ją apostołowie w wysokim stopniu, głosząc mimo prześladowań, słowa miłości Bożej; mieli ją męczennicy święci, barwiący własną krwią, żółte piaski rzymskich aren, żywiący swem biednem ciałem krwiożercze bestje, dla uciechy wyjącej pogańskiej tłuszczy.

Ma Boską moc i siłę każdy człowiek, który potrafi odwalić ciężki kamień grobowy, zamykający mu wejście do Chrystusowego świata miłości.

— — — — — — — — — — — —

Święto Wielkiejnocy przypomina nam co roku owe cudowne owoce zmartwychwstania Jezusa.

Jest domową uroczystością wielkiej wagi, zgromadza bowiem rozpierzchłą po świecie rodzinę pod dach domowy.

Jest jednym z tych tak nielicznych promyków doczesnego szczęścia, przyświecających szaremu ciężkiemu życiu wielu chrześcijan.

Wielkanoc obchodzona uroczyście na całym świecie, czy to pod gorącym błękitem Italji, czy gdzieś w kraju wiecznych śniegów, w poświacie zorzy polarnej, najpiękniejszą jednak dla mnie jest u nas Polsce.

— — — — — — — — — — —

Nigdzie nie może być piękniej w zaraniu wiosny.

Wyłaniająca się z grobowej bieli śniegów przyroda, zda się uśmiechać nienawykłemi jeszcze do słońca oczkami pierwiosnków. Oddychając pod czarnemi żebrami wzgórz, owija południowym wiatrem, jakgdyby ciepłym, przeźroczystym szalem, wątłą jeszcze trawkę i lepkie pąki drzew. Ubiera się odświętnie na gody Zmartwychwstania Jezusa Chrystusa.

A choć czasami wstrętne wichrzysko północne napędzi tumany śnieżnych chmurzysk i pokryje zimową bielą odwalane pługiem wieśniaka czarne skiby ziemi (zacinając zdradziecko Bartka czy Maćka po ogorzałej twarzy), to jednak nie na długo.

Bo oto słoneczko, najserdeczniejszy przyjaciel wiosenki, w mig roztopi ostatnie straże lutej zimy i znów skowronek poczyna wywodzić podniebne trele, wyglądając Jezusowej chwały.

I tak rok w rok, od zarania chrześcijańskich dziejów naszej ziemicy, powtarza się na niej Misterjum, z przecudownym finałem Zmartwychwstania Syna Bożego: łączące się dziwnym trafem z uroczystem świętem naszych pogańskich praojców, „świętem wiosny", odbywającem się mniej więcej w tym samym okresie czasu. To zespolenie chrześcijańskiej Paschy ze świętem słowiańskiem ma dla nas ogromne znaczenie. — Mnóstwo bowiem obrzędów i zwyczajów pogańskich, zachowanych przez naszych pradziadów, z biegiem lat straciwszy swój pogański charakter, utworzyło tradycję ludową, związaną z Kościołem katolickim. I Wielkanoc posiada również taką tradycję przechowaną w najrozmaitszych obrzędach, zwyczajach i wierzeniach ludowych, przybierających w rozmaitych okolicach naszego kraju bardzo ciekawe formy.

Tradycja Wielkanocna, obrzędowa, zwyczajowa i wierzeniowa, zachowała się stosunkowo najlepiej na wsi. Wieśniak bowiem, to konserwatysta. Ziemię swą kocha, jak matkę, chaty swej za nieby nie opuścił, do obrzędów swych i wierzeń głęboko przywiązany, zachowuje je w całej pełni, tak, jak mu przekazali ojciec czy dziadek. Przywiązanie wieśniaka do zwyczajów i obchodów, związanych z świętem kościelnem, jest najlepszem znamieniem jego katolicyzmu i polskości.

ZWYCZAJE WIELKANOCNE.

Jeśli słonko przed Niedzielą Palmową, silniej przygrzeje, to wszędzie nad rzeczułkami w krzakach wierzbiny, poczynają na gałązkach wytryskiwać puszyste bazie. Chłopcy wycinają takie gałązki, zazwyczaj w środę przed Palmową Niedzielą i wstawiają do dzbanów z wodą, aby się lepiej rozwinęły. W Niedzielę Palmową, (inaczej także zwaną przez lud Kwietną, Wierzbną, lub Różdżkową), kto najraniej wstanie, bije śpiących rózgą, wołając:

„Wierzba bije
Ja nie biję.
Za tydzień
Wielki dzień.
Za sześć noc
Wielkanoc".

Następnie niosą palmę do poświęcenia, przed nabożeństwem, stąd też i nazwa Palmowej Niedzieli. Palmie przypisuje nasz lud własności lecznicze i czarodziejskie. Spożywanie pączków gałęzi wierzbowej ma zabezpieczyć przed bólem gardła i warg. Praktykowany był ten środek leczniczy już w XIV w., oczem wspomina Mikołaj Rej w *Postylli* (1556 r.) „W Kwietnią niedzielę kto bagniątka nie połknął... to już dusznego zbawienia nie dotrzymał".

Wiara w leczniczą moc pączków wierzbowych tkwi i dziś bardzo silnie w ludzie. Nawet bydłu dają je wraz z ziemniakami, aby je zabezpieczyć przed chorobą. W niektórych okolicach, biegają z palmą do stajni i chlewa i mieszają nią w żłobach, aby zaraźliwa choroba nie miała dostęp. Krowy nią omiatają, koniom nozdrza obcierają, aby żadnej choroby nie powąchały, poczem kładą ją na jabłoń, by uschła.

Prócz leczniczych, ma posiadać palma i własności czarodziejskie. Uderza nią wieśniak bydło przy wypędzeniu go pierwszy raz w pole. Ma to zabezpieczyć przed zarazą. Palma zatknięta za obrazy i sufity domów i chlewów, ma chronić przed pożarem.

Podane wierzenia wieśniaka mogą się nam wydawać śmieszne i naiwne. Jednak trzebaby go dopiero widzieć, z jakiem on namaszczeniem wykonuje praktyki palmą, jaka powaga maluje się w jego oczach. Jeśli wierzy w czarodziejskość palmy, to wierzy w to po katolicku, wierzy, ponieważ palma jest poświęconą.

Przejdźmy teraz do zwyczajów ludowych w okresie Wielkiego Tygodnia. Pierwsze dnie przechodzą z dostrajającą się często ponuro przyrodą, smutnie i głucho. W końcowych dniach, począwszy Wielkiego Czwartku następuje już większe ożywienie. Piękny obrzęd kościelny odbywa się w Wielki Czwartek na Jasnej-Górze. Mianowicie o godzinie 4 rano, przy zamkniętych bramach i drzwiach odbywa się zmiana sukienki na cudownym obrazie Najświętszej Panny. Nieliczni obecni kornie przyklękają, a dwaj OO. Paulini w komżach i stułach, wyjmują obraz na

stół, zasłany obrusem. Po modlitwie pod przewodnictwem Przeora, zdejmują sukienkę i koronę, odnoszą do skarbca, skąd przynoszą drugą. Obraz oczyszczają z kurzu. Obecni kładą na obraz celem poświęcenia, welony, krzyżyki, obrazki. Następnie obydwaj zakonnicy, przymocowują koronę, aniołków i sukienkę. Przeor odmawia litanję do N. Panny podczas której zakonnicy wstawiają wizerunek w ołtarz.

W niektórych okolicach (widziałem dwa lata temu w Poznańskiem) chłopcy robią Judasza, ze starych szmat wypchanych słomą, przepasują go sznurkiem, do którego przyczepiają woreczek z 30 srebrnikami (szkłem), następnie wyprawiają z nim niemożliwe harce. Zrzucają go z wieży, następnie spławiają na rzece, tak długo, póki się wszystka słoma z niego nie wysypie, nakoniec uroczyście spalają.

W Wielki Piątek i Wielką Sobotę królują niepodzielnie w kościołach Boże Groby.

„Pogoda w Kwietną Niedzielę,
Wróży urodzaju wiele".

powiada chłopski astrolog, dodając i ostrzeżenie:

„W dniu krzyżowej męki Bożej,
Wstrzymujmy się od siewu zboża".

W Wielką Sobotę, już od południa zaglądają gospodynie i dziewczęta do folwarczku, czy ksiądz nie przyjechał, aby poświęcić dary Boże. Niektóre ubrane odświętnie, w śliczne gorsety z litej materji, w koralach na szyji, w pięknych kraciastych chustach i w szerokich barwistych spodnicach, trzymają w prawej ręce kobiałki, przykryte bieluśkiemi ręcznikami. Na wieść, że ksiądz już jedzie, spieszą na gwałt do dworku, wywołują po drodze znajome z chat.

Przed starym ganeczkiem, postawiwszy kobiałki w półkole, odkrywają ich zawartość. Przyniosły do święcenia, co miały najlepszego, a więc pisanki, ser, kiełbasę, wędzonkę, sól; gdzieniegdzie wyziera i żółta babka i blade prosię z jajkiem lub chrzanem w zębach. Wszystko zaś pokrywa zielony, silnie pachnący barwinek. Wkrótce wychodzi siwiuteńki jak gołąb kapłan, ubrany w białą komżę i przeczytawszy z książki modlitwę, rzuca szczyptę soli do przygotowanego cebra z wodą. Następnie kropidłem skrapia obficie kobiałki i obecnych, czyniących znak krzyża na sobie. Ceremonja poświęcenia się skończyła. Wodę z cebrzyka zabrały kobiety do przyniesionych flaszek. Chowano ją w każdym wieśniaczym domu przez cały rok. Służyć miała do poświęcenia nowych mieszkań, budynków gospodarskich i do chrztu niemowląt w nagłej potrzebie. Resztę wody wyczerpanej wlewano do studni.

Gdy miną nareszcie pełne smutku i żałoby dni Wielkiego Tygodnia, gdy już ucichnie suchy trzask grzechotek i kołatek, a ozwą się znowu dzwony, milczące od Wielkiego Czwartku, nastaje radość i wesele. Każdy powracający z kościoła po Rezurekcji do domu, pospiesza dobrze,

F. M. JABŁONKA.

HONORNI ORAWIACY.

4 **POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.**

Hondras i drużbowie w mig tam pobiegli, naprawić sytuację, ale również w mig ruszyli się i wszyscy Babiogórscy. Stary Babiogórski i jego dwaj synowie, jak ranione lwy rzucili w kierunku towarzystwa Grochowskiego tonem pogardy:

— Z wami dziady, my ziemianie razem jeść nie bedymy.

A sam ojciec, zwróciwszy się do Hondrasa, zapytał go się:

— A ty, zięciu mój, co na to?

— No tatusiu, tatusiu — nie gniewojcie się. Grochowski pijany trochę — bełkotał Hondras na pół przytomny i cały się trzęsący.

— Tak, ty jesce mnie bedzies rozumu ucół? A nie weźmies kija, aby tych dziadów, pijoków z tego domu wygnać, kie do niego moje dziecko wkrocyło, aby tu królować?!

Po tych słowach starego Babiogórskiego powstał niebywały zamęt. Podochocony kąt Grochowskiego zerwał się na nogi. Chłopi, baby, parobcy i dziewki podnosili pięści, wrzeszczeli i wyzywali. Grochowski zaś ochryple krzyczał:

— Kto dziod? Na porządne krpce nimocie, szkapy na wasych gruntach ziemiańskich sie ledwie dochowocie, obłargusi, smaciorze szlacheccy! Na kolana wom w tym gazdowskim domie upaść!...

Więcej już nie można było dosłyszeć. Wszystkich obecnych ogarnął szał wściekłości. Wyzywano się, stoły się ruszyły, krzesłami w powietrzu wywijano. Drużbowie i Hondras rozpaczliwie machali rękami, uspakajając, ale tego już nikt nie widział. W izbie powstała bitwa. Obrzucano się flaszkami, garnuszkami, walono w głowy krzesłami. Przeraźliwy krzyk kobiet, a zwłaszcza pani młodej i rozpaczliwe narzekania Ostrowskiej robiły wrażenie dnia sądnego.

— Hondrasku mój drogi, nie powiedziałak ci, ze ci ten honor ziemiański zycie zatruje? — lamentowała Ostrowska. Słów tych dosłyszał stary Babiogórski. Bitwa skończyła się zwycięstwem Grochowskiego. Wszystkich Babiogórskich przyparto do ściany.

aby zasiąść z wygłodzonym żołądkiem do święconki“.

Do „święconego“, przywiązuje lud również wiele obrzędów, które wypełnia z całą powagą. I tak: w lubelskiem przestrzegają się, aby w pierwsze święto po zachodzie słońca nie jeść już święconego; ktoby to uczynił. zagraża mu „kurza“ ślepota. Okruszyny święconego starannie wyzbierane z izby, rozsiewają po ogrodzie.

W pewnych okolicach. gospodarze idą z wodą święconą kropić swoje pola. W chatach, gospodynie lub dziewki idą do obór i dają bydłu po kawałku chrzanu i chleba święconego i t. p.

W Wielką Niedzielę wszyscy domownicy świętować powinni w swych chatach, a odwiedzać się dopiero nazajutrz. Dzisiaj jednak nie przestrzegają już tak ściśle tego zwyczaju, który podnosił uroczysty nastrój pierwszego dnia Wielkanocy.

Główne znamię drugiego święta, to młodzieńcza, nieskrępowana niczem wesołość. To święto parobków i dziewcząt.

Właśnie do Poniedziałku i Wtorku Wielkanocnego, przywiązane są najciekawsze, prastare obrzędy i zwyczaje ludowe.

Takim zwyczajem jest Śmigus, zwany także dyngusem, lejkiem, oblewanką i podlewanką. Zupełnie możliwem jest, że zwyczaj ten, to pamiątka wprowadzenia chrześcijaństwa do Polski, kiedyto rzesze wprowadzano gromadnie do wody, aby je chrzcić.

W każdym razie śmigus, czyli dyngus, to zwyczaj bardzo stary, sięgający czasów przedhistorycznych, czasów kultu wody i ognia. (Woda do dziś dnia uchodzi za symbol oczyszczenia).

Bardzo częstym zwyczajem, jest przez dziewczęta obchodzony t. zw. Gaik[1]. Naprawdę ładnie obchodzą go dziś na Mazowszu. Gaik, to spora gałąź choiny, ustrojona różnokolorowemi wstążkami, obnoszona przez dziewczęta po domach. Dziewczęta śpiewają, poruszając do taktu choiną:

„Gaiku zielony, pięknie ustrojony,
– a chtóż ci go ustroił?
Nadobne dziewczyny — gaicek zielony
pięknie ustroiły.
Przypatrują mu się wszyscy ludzie,
Wszyscy ludzie, wszystka szlachta,
Nos gaicek kieby płachta i t. d.

Oprócz Dyngusu i Gaiku jest zwyczaj w Czerskiem w Wielki Poniedziałek, obchodzić chatę z kropidłem, przyczem chłopcy i dziewczęta śpiewają:

„Nad jeziorem lipka stała,
Pod tą lipką dziewka prała,
Sed ubogi środkiem drogi,
Dziewko, dziewko, daj mi wody,
Dziadku, dziadku, woda niecysta,
Napadało z drzewa liścia i t. d.

Naturalnie dziewka kłamie; to jej wykazuje Pan Bóg, gdyż On to się zamienił w żebraka. Dziewczyna ze łzami uprosiła sobie przebaczenie. Śpiewka to bardzo stara, zdaje się z XVI wieku.

— No ziemianie, zjedlibyście teroz grochu, wywoływał radośnie Grochowski.

Wstyd i pohańbienie, w jakiem się ziemianie znaleźli, pchnął ich do nowego wysiłku. Stary Józef Babiogórski wydał rozkaz:

— Synowie i krewni moi, brońmy nasego honoru!

Wspólnym wysiłkiem odepchnęli i przełamali pół pijany pierścień Grochowskiego. Trzy baby i stary Mróz wywrócili się. Wtedy odezwał się ponownie Babiogórski:

— Ziemianie, prec z tej jaskini bandytów!

Waląc pięściami i łokciami na prawo i na lewo, torowali sobie drogę przez kuchnię i sień, gdzie się już sporo gawiedzi nagromadziło. Matka Hondrasa dostała pięścią w głowę, co wszystkie jej sąsiadki i kumoszki tak rozzuchwaliło, że uciekającą za ojcem i braćmi Marysię wrzącą kaszą obsypały i jej ślubną sukienkę potargały na strzępy.

Cała ta bitwa w dwóch izbach i w sieni nie trwała dłużej nad trzy minuty. Gdy się Babiogórscy znaleźli na pasterniku, pijani towarzysze Grochowskiego ruszyli za nimi.

— Słyseliście, jak to „ziemianie bez ziemi“ jaskinią zbójów nazwali piersy dom gazdowski na całej Orawie? Słyseliście? — wrzeszczał Grochowski. I nie mogąc się prędko przebić przez tłum kobiet i gawiedzi, łupnął pięścią w zamknięte okno: rozwarło się i rozbiło, a Grochowski raz-dwa wyskoczył na pole. Spadł jednak dość nieszczęśliwie, bo kolanami o krawędź pogródki, leżał więc na pasterniku, krzycząc i wyzywając.

Babiogórscy nie mieli czasu, aby konie zaprząc, jak należy do wozów weselnie przystrojonych. Zamęt i nastrój popłochu przeniósł się i na trzy pary koni. Widząc uciekających swych gospodarzy, latające w powietrzu flaszki, garnki i kamienie, zastrzygły uszami, szarpnęli lejcami i z kopyta ruszyły. Między końmi powstała niebezpieczna gmatwanina. Nie mogąc ruszyć z miejsca, zaczęły bić i prać tyłami, waląc jeden w drugiego. Silniejsze szarpnięcia uwolniły trzy konie z więzów: spłoszone uciekały z miejsca pobojowiska. Inne trzy udało się Hondrasowi i jego drużbom uspokoić i w karności utrzymać. Wtenczas to właśnie wybiegła na pasternik gorzko płacząca gospodyni domu i całym majestatem 30-to morgowej gazdziny, wyrzekła pomału te słowa:

Pozostaje mi jeszcze jeden zwyczaj do opisania, ze wszystkich dotąd wymienionych najstarszy, t. j. *zwyczaj pisanek*".

Jest ciekawa stara opowieść polska o malowaniu jajek.

„Gdy Marję Magdalenę pocieszył Anioł, że Jezus zmartwychwstał, ta pobiegła ucieszona do domu. Patrzy, a tu wszystkie jaja, które miała w koszyku stały się czerwone. Pobiegła z niemi do apostołów i rozdała im je, na świadectwo Zmartwychwstania Pańskiego. Jajka w rękach apostołów zamieniły się w białopióre ptaki, na znak, że ze śmierci Chrystusa, powstał żywot wieczny dla ludu".

Spożywanie „święconego" jajka, to zwyczaj Wielkanocny o podkładzie pogańskim. Jajko, jako dające początek nowemu życiu, samo z natury rzeczy bywa uważane za chwilowo pozostającą w uśpieniu żywą istotę i jako takie od najdawniejszych czasów, odgrywało bardzo ważną rolę w życiu ludzkiem. Mity indyjskie, wyprowadzają początek świata z jednego jaja.

Podanie słowiańskie (ukraińskie), opowiada, że dawnemi czasy gdy ziemia była jeszcze pustą, zesłał Bóg na ziemię koguta, aby ją ożywił. Ten zniósł jajko, z którego wypłynęło 7 rzek, które dały początek życiu przyrody. Używano jejka w dawnych czasach jako siły przeciwdziałającej złym duchom u starożytnych, tak i u Słowian, jajo miało wielkie znaczenie w obrzędach pogrzebowych. U południowych Słowian rodzina zmarłego udaje się na grób, pozdrawiając zmarłego słowy: „Chrystus zmartwychwstał", poczem stacza jajko z mogiły i zakopuje gdzie upadnie.

W Malorosji, umierającemu w Wielki Tydzień dają do rąk czerwone jajko. Dawniej w Polsce było zwyczajem b. rozpowszechnionym, wkładać zmarłemu do trumny jajko, garść zboża, książki do modlenia i t. p.

Jajko stało się zwyczajem Wielkanocnym prawdopodobnie stąd, że Słowianie obchodzili święto umarłych w porze wiosennej, podobnie jak Grecy i Itadowie. U nas w Krakowie jest po dziś dzień zwyczaj obchodzenia święta umarłych, we Wtorek W., mianowicie „Rękawka". Rzucanie gotowanego jajka z mogiły, toż właśnie ten prastary zwyczaj pogrzebowy, tak dziwnie przechowany.

Przypisujemy jajku moc oczyszczającą, *która się wzmaga przez poświęcenie.* Technika malowania pisanek jest dziś u kobiet wiejskich najrozmaitsza.

Jednobarwna zowie się krasanką. Posiadająca deseń skrobany — skrobanką i t. p.

Miasto ma już bezwzględnie mniej obrzędów i zwyczajów, związanych z Wielkanocą, ze zrozumiałych zresztą powodów. Będąc środowiskiem ruchliwem, nie może być konserwatywnem, a zwłaszcza jeśli to jest miasto młode, wybujałe na handlu lub przemyśle.

Tu właśnie leży niebezpieczeństwo miasta. Nieposiadając tradycji, staje się często gniazdem moralnego zepsucia, głosi postęp bezbożnego zachodu, zabijając w Polaku-katoliku, to co ma

---

— Synu moj, wymiec mi z domu te ziemiańskie śmeci!

Hondras stał bezradny. Nic nie wiedział o uderzeniu matki w głowę. Całe to zajście jednak obudziło i jego dumę gazdowską, przytłumiło, przygasiło ogień miłości do Marysi. Słowa teścia: jaskinia zbójów-zraniły go. To też po rozkazie matki, w którym odczuł nigdy jeszcze nie słyszaną powagę i rozpacz, czuł się zelektryzowanym. Haniebna ucieczka Marysi, bez oglądnięcia się na niego, zraniła, o, jak okropnie zraniła — jego serce. Ogólny wrogi dla ziemian nastrój, słowa kochanej zawsze matki i zraniona miłość zrobiły swoje i w Hondrasie.

— Prec, pańskie, ziemiańskie śmieci! — zawołał i on, i puścił konie na wolność.

Wozy z posagiem Marysi, pod komendą pijanego Grochowskiego, wywieziono z pasternika, odstawiono na drogę. Gawiedź wnet je obsiadła i zaczęto gruntownie przeglądać posag Marysi.

I kto wie, coby się było dalej stało, gdyby się byli na placu boju nie zjawili ks. proboszcz i miejscowy kierownik szkoły. Wybrali się obaj na wesele, a trafili na haniebne pobojowisko. Na widok, księdza, gawiedź rozleciała się na wszystkie strony, trzeźwi gospodarze i gaździny też zniknęli, krzyczeli tylko i odgrażali się Grochowski, Mróz i kilku również podochoconych parobczaków. Wójta, zacnego i powszechnie szanowanego Ignacego Piaska, nie było jeszcze na weselu. Ks. proboszcz wysłał do niego kartkę. Za pół godziny był na miejscu. Po krotkiej naradzie postanowiono wysłać sługę gminnego do Podwilka po dwóch żandarmów. Posag Marysi chciał wójt odstawić do Ostrowskich, ale wobec protestu matki i milczenia Hondrasa, nie uczyniono tego. Zawieziono więc wszystkie wozy do Józefa Babiogórskiego.

O godzinie 10 wieczór było już po weselu... Gwiazdy migały swemi świecidełkami, między domami Babiogórskich i Ostrowskich krążyły przez całą noc dwie postacie uzbrojonych żandarmów. Ludzie długo, długo zasnąć nie mogli, tyle mówili, omawiali i plotkowali.

* * *

Co się działo u Babiogórskich i u Ostrowskich? A szczególnie co czuły serca Marysi i Hondrasa?

(Ciąg dalszy nastąpi).

NOWA ANKIETA »DZWONU NIEDZIELNEGO«

Cała Polska głośna od nawoływań Najprzewiel. Arcypasterzy, aby Katolicy swe wierzenia wcielili w czyn. Zdemoralizowane społeczeństwo czeka nerwowo i w napięciu na błogie wyniki wysiłku katolickiego, dążącego do uchrześcijanienia życia społecznego i państwowego. Dokonać mogą tego jednostkj i rodziny. Powstaje wszędzie **Liga Katolicka**, ludzie świeccy podają rękę kapłanom do pracy w winnicy Pana. W Ojczyźnie naszej zaświecą wkrótce postacie **apostołów świeckich.**

Redakcja nasza rozpisuje w tej sprawie nową ankietę. Niechaj nasi Szan. Czytelnicy napiszą nam:

Co ma robić apostolstwo świeckie?

Uwzględnić przy pisaniu swoją tylko parafję. Termin nadesłania artykułów 30 kwietnia.

Rozdamy trzy nagrody: 50, 30 i 20 złotych.

w sobie najdroższego — miłość ojczyzny i własnych zwyczajów.

My Polacy, mający za sobą nietylko bogatą tradycję dziejową, „obrońców chrześcijaństwa", tradycję zamkniętą w szeregach skrzydlatych husarzy, zakutych w stal, hetmanów i królów, ale także tradycję, będącą znamieniem naszego katolicyzmu i polskości, obawiającą się w gorącem przywiązaniu naszych przodków do zwyczajów i obchodów, związanych z świętami kościelnemi, powinniśmy być nieodrodnymi synami naszych ojców.

Hasłem naszem powinno być: *Bóg i Ojczyzna!*

*) Pieśni odnoszące się do „Gaika" i do zwyczaju obchodzonego w Czerskiem, z „Kolberga".

**) Garść szczegółów genetycznych „Pisanki", opracowałem podług badań źródłowych tego zwyczaju, drukowanych w „Miesięczniku krajoznawczym 1912 r.".

Włodzimierz Sawulak.

Rodacy!

Kościół na Skałce w Krakowie w niebezpieczeństwie! Komisja policyjno-budowlana nakazała obowiązkowo w krótkim czasie przystąpić do restauracji. Odrywające się bowiem kamienie z wieży mogą przebić sklepienie. Dach zacieka. Sadzawka historyczna, cudotwórcza, domaga się przyprowadzenia do porządku. Grozi zamknięcie kościoła.

Pamiętać należy, że tu św. Stanisław Biskup poniósł śmierć męczeńską w obronie prawa i sprawiedliwości, ujmując się za swym ludem.

Rozsiekanego ciała jego, według podania, strzegły orły, aż się zrosły członki razem. W latach niewoli pamięć o tem krzepiła naszą nadzieję, że złączy się i nasza rozdarta Ojczyzna, nad którą unosił się orzeł biały.

To też w obawie tego, zaborcy starali się obniżyć cześć św. Stanisława. Ojczyzna nasza jednak powstała, zawdzięczając to przyczynie Królowej Korony Polskiej i świętych Patronów, wśród których św. Stanisław Szczepanowski zajmuje główne miejsce.

Tutaj tyle pamiątek! Królowie polscy niegdyś przed koronacją odbywali pielgrzymkę na Skałkę, by uprosić sobie opiekę św. Biskupa.

To oaza polskości w najdawniejszej historycznie części Krakowa, która opiera się mocno i stać musi wobec naporu obcego żywiołu!

Prócz tego Skałka przytuliła prochy naszych mężów zasłużonych: Długosza — znakomitego historyka, Wyspiańskiego, poetę i malarza, Kraszewskiego, Lenartowicza, Siemiradzkiego, wielkiego malarza, Asnyka, Pola, Siemieńskiego. Wszystko to ludzie wielcy. Warci tego, żeby rodacy dbali o ich miejsce wiecznego spoczynku. Skoro jednostkom zasłużonym stawiają kosztowne pomniki, mauzolea — o ileż bardziej troszczyć się należy o tych wszystkich wielkich i drogich nam mężów! Inaczej możnaby wyrzucać Ojczyźnie, której oni tak służyli i miłowali, czarną niewdzięczność!

A jednak ze smutkiem wyznać trzeba, w tym względzie pewne zaniedbanie, bo do przedsionka grobowców sączy się woda opadowa. W krypcie opadają tynki, niszcząc malowidła.

Pragnąc tedy zaradzić dalszemu zniszczeniu i ratować nieoceniony nasz zabytek dziejowy, utworzył się **Komitet odnowienia Skałki.** Wzywa on Rodaków w kraju, na obczyźnie i za oceanem do składek. Ofiarodawcy w ten sposób przyczynią się do czci św. Stanisława, a OO. Paulini, jako strażnicy tego miejsca świętego, polecać będą łaskawości Bożej Dobrodziejów Skałki.

Ofiary na ten cel nadsyłać można na konto P.K.O. Nr 406.880 w Krakowie, albo też pod adresem OO. Paulinów w Krakowie na Skałce.

Protektor:

† Adam Stefan Sapieha
Książe Metropolita Krakowski.

Komitet Wykonawczy:

Prezes *Karol Rolle* prez. m. Krakowa, wiceprezes *O. Bernad Dudziński* przeor OO. Paulinów na Skałce, skarbnik *Stanisław Wójcikiewicz*, sekretarz Dr *Kazimierz Piwowarski.*

Członkowie Komitetu Wykonawczego:

Hukan Karol, ks. dr. *Kruszyński*, *Krzyżanowski Jan*, *Polaczek Tadeusz*, dr *Szydłowski Tadeusz*, *Szyszko Bohusz Adofl*, *Zarzycki Leopold.*

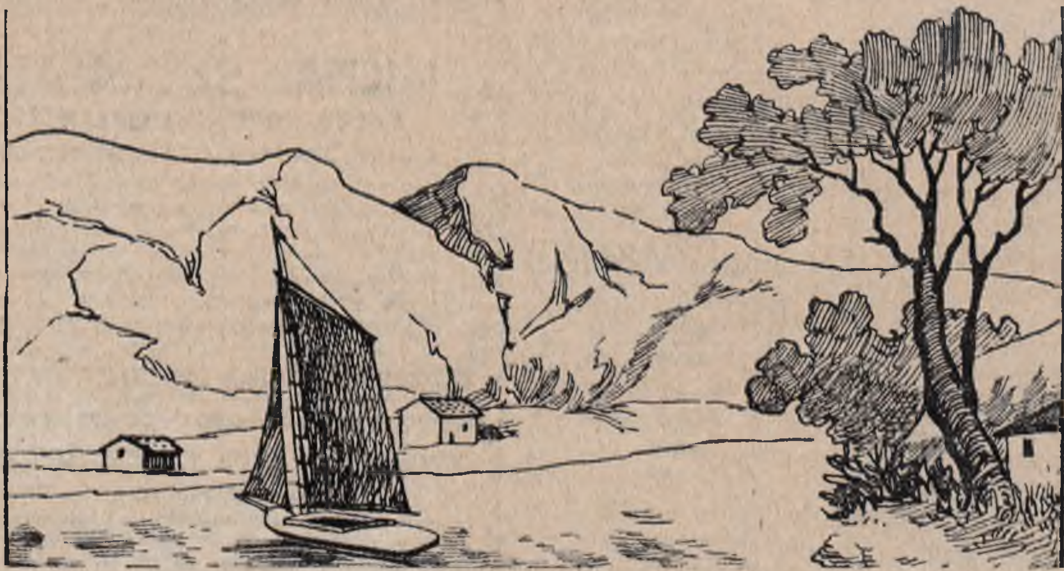
Członkowie Komitetu:

Dr *Chmiel A.*, *Dorawski Józef*, *Dudek Henryk*, ks. dr. *Fijałek Jan*, *Hoffman Mikołaj*, *Kowalski Daniel*, *Krauze Jan*, *Muczkowski Józef*, *Niezgoda K.* generał, hr. *Potocki Franciszek*, *Puhałka Jan* poseł, dr. *Rubczyński Witold*, *Stryjeński Tadeusz.*



Napiszę najsamprzód o tem, co nas boli, t. j. **o pożyczce amerykańskiej**. 8-go kwietnia miał być podpisany układ rządu z wysłannikiem finansistów amerykańskich, p. Monnetem. Amerykanie zaofiarowali **100 miljonów dolarów** na lat trzydzieści, na warunkach — podobno — dogodnych. Jednym z tych warunków było żądanie, aby w Radzie nadzorczej Banku Polskiego zasiadło czterech amerykanów, którzy mieliby wgląd w dział bu-

Zagadka obrazkowa.



Gdzie kierownik łódki?

dżetu odnoszący się do wpływów podatkowych. Amerykanie mieli otrzymać 1/5 część akcyj Banku Polskiego.

W rządzie powstała mała, zasadnicza sprzeczka co do tych warunków. Min. skarbu Czechowicz, min. spr. zagr. Zaleski i sam prezydent Rzeczypospolitej uznali warunki amerykańskie za bardzo ciężkie, nie przyjęli je i **rząd polski wypracował nowe warunki, z któremi dyr. Młynarski wyjechał do Paryża, gdzie ma się spotkać z przedstawicielami wierzycieli**. Ogólne jest mniemanie, że pożyczka dojdzie do skutku. Może ożywi się już wreszcie ruch budowlany, roboty miejskie, budowa dróg, koleji i t. d.

W szerokim świecie

nie brak sensacyjnych wiadomości. Na terenie Chin zdarzyły się nieprzewidziane wypadki. Jak wiadomo armja rewolucyjna Czang-Kai-Szeka zajęła Szanghaj. W zwycięstwie tem wielką rolę odegrali bolszewicy. Wszyscy spodziewali się, że zwycięska armja kantońska rzuci się na oddziały angielskie, francuskie i włoskie w Szanhaju. Ale przypuszczenia nie ziściły się. Anglicy strzegą zbrojnie swych koncesyj i równocześnie prowadzą rokowania z przywódcami chińskimi. **I stała się rzecz niespodziewana:** Czang-Kai-Szek razem ze swoim przeciwnikiem Czang-Tso-Lin-em (mającym w Pekinie swą siedzibę) wydali ostre zarządzenie przeciw bolszewikom. Dochodzą nawet wieści, że obaj przywódcy mają utworzyć wspólny front przeciw rozpanoszonej w Chinach Moskwie. W ten sposób mielibyśmy wojnę Chińsko-Sowiecką, a nie Chińsko-Angielską. Byłby to ogromny sukces dyplomacji angielskiej.

Chcąc osłabić Anglję, Sowiety pragną pozyskać Francję i puszczają pogłoski, że czerwona Moskwa uzna wszystkie długi carskiej Rosji, zaciągnięte przed wojną we Francji.

Faszystowskie Włochy wyciągają coraz dalej swe imperjalistyczne ramiona. Albanja jest już prawie pod ich panowaniem, a świeżo **zawarł Mussolini (5. IV.) traktat wieczystej przyjaźni i trwałego pokoju z Węgrami**. Dla Jugosławji nie mały to cios. Benesz też się zaniepokoił nowem powodzeniem polityki włoskiej. Gmach „Małej Ententy" wali się, bo Rumunja żywi obecnie szczerą wdzięczność dla Mussolini'ego za uznanie granic w Bessarabji. Czarne koszule błyszczą na południowym wschodzie Europy.

PODZIĘKOWANIE!

Obywatele z Dąbia składają na tej drodze Przewielebnemu ks. Dr, Janowi Kantemu Tobiasiewiczowi, kanonikowi i Proboszczowi Parafji Św. Mikołaja w Krakowie, za Jego pełną poświęcenia pracę i dbałość o zbawienie dusz serdeczne — Bóg zapłać!

Parafjanie.

ŻYWE WOTUM ŚW. TERESY

P. Leokadja Popielewska, Lublin 5 zł. (na kaplicę w Rabce), F. K. 5 zł. (na kaplicę w Rabce). Drukarnia Gronuś—Orłowski 3 zł 80 gr., zwrot za kalendarz od p. Janeczka 1 zł. 20 gr., razem 5 zł.

Za redakcję i Wydawnictwo z ramienia Katol. Związku Wyd. odpowiada Ks. Ferdynand Machay
Drukarnia Gronusia i Orłowskiego w Krakowie, ul. Stolarska 6.